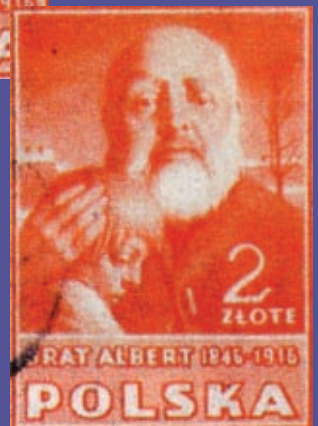




GŁOS BRATA ALBERTA



KWARTALNIK 4(63) / 2010



Otwarcie na potrzebujących.

Św. brat Albert Chmielowski (1845-1916)

Św. Brat Albert, Adam Chmielowski (1845-1916) na stałe wpisał się w świadomość Polaków jako Ojciec ubogich, który pozostawił karierę artysty, by zamieszkać z ludźmi najuboższymi i ukazać im utraconą miłość Boga. Ten gest zamieszkania w ogrzewalni porusza do dziś wyobraźnię, inspirując do działalności charytatywnej, której on dał początek.

I. Curriculum vitae

Adam Chmielowski urodził się 20 sierpnia 1845 roku w Igołomi w zaborze rosyjskim jako syn Wojciecha, urzędnika celnego i Józefy z Borzysławskich. Wcześniej osierocony przez ojca (1853), razem z matką i rodzeństwem przeniósł się do Warszawy. Niedługo potem zmarła również matka (1859), a opieką nad dziećmi zajęła się ciotka Petronela Chmielowska. Jako syn urzędnika carskiego miał prawo do szkół rosyjskich. Najpierw pobierał więc nauki w Korpusie Kadetów w Petersburgu (1857-1858), przygotowując się do kariery wojskowej. Na życzenie matki przeniósł się do Szkoły Rolniczo-Leśnej w Puławach (1861-1863).

Adam kochał bardzo swoją Ojczyznę, dlatego z zapałem młodzieńca, mając zaledwie siedemnaście lat, zaangażował się w walkę powstańczą biorąc udział od 22 stycznia do 30 września 1863 roku. Walczył pod dowództwem Leona Frankowskiego. Przebywał w niewoli w Ołomuńcu. We wrześniu 1863 został ranny w walce pod Melchowem, w wyniku czego amputowano mu lewą nogę. Dzięki interwencji rodziny udało mu się uniknąć wywózki na Sybir, ale musiał opuścić Ojczyznę.

Po upadku powstania styczniowego Adam Chmielowski udał się do Paryża (1864), gdzie podjął studia malarskie. Kontynuował naukę w Szkole Rysunków w Warszawie (1865). Studiował inżynierię w Gandawie (1866-1867) i ponownie malarstwo w Paryżu (1868). Odbывał studia malarskie w Monachium (1869-1874). Był tam duszą skupiska młodych artystów. Do jego przyjaciół należał A. Gieryski, J. Chelmoński, St. Witkiewicz i L. Wyczółkowski. Po studiach tworzył w Warszawie i Krakowie, zdobywając sławę malarza impresjonisty.

We wrześniu 1880 roku zupełnie niespodziewanie Chmielowski wstąpił do nowicjatu jezuitów w Starej Wsi, który opuścił z powodu „choroby duchowej” w kwietniu 1881 roku. Był leczony w zakładzie dla umysłowo chorych w Kulparkowie koło Lwowa do stycznia 1882 roku. Następnie przebywał u brata Stanisława w Kudryńcach na Podolu (1882-1884). Tam kontynuował działalność malarską zajmując się jednocześnie tercjarstwem. W 1884 roku powrócił do Krakowa, gdzie malował i zajmował się bezdomnymi. 25 sierpnia 1887 roku przywdział habit tercjarski w kaplicy loretańskiej u kapucynów, przyjmując imię Albert. W rok później złożył śluby zakonne na ręce kard. A. Dunajewskiego (25.08.1888), zakładając w ten sposób Zgromadzenie Albertynów. 15 stycznia 1891 roku śluby zakonne złożyły pierwsze albertynki. Był to początek wielkiej działalności charytatywnej, która zaowocowała licznymi domami dla najbiedniejszych.

Brat Albert, „ojciec ubogich i nędzarzy” zmarł 25 grudnia 1916 roku w ogrzewalni na krakowskim Kazimierzu. Ojciec święty Jan Paweł II kanonizował Brata Alberta w 1989 roku w Rzymie.

Do pracy nad podnoszeniem moralnym i materialnym najuboższych założył Zgromadzenia Albertynów i Albertynek, dając im regułę pierwotną św. Franciszka z Asyżu. Swoim Zgromadzeniom nadał kształt kontemplacyjno-czynny łącząc duchowość św. Franciszka z Asyżu z duchowością św. Jana od Krzyża. Powstała w ten sposób nowa forma życia zakonnego stała się nośnikiem duchowości albertyńskiej, która charakteryzuje się radykalnym wyborem Chrystusa ukrzyżowanego w najuboższych i działalnością charytatywną oraz głębokim życiem zjednoczenia z Bogiem odkrywanym w ciszy i samotności.

Św. Brat Albert nie pozostawił po sobie wielkich pism ascetycznych. Zwięzłe notatki robione w czasie rekolekcji, nieliczne listy i artykuły świadczą o niezwykle bogatej duchowości założyciela Zgromadzeń Albertyńskich skupionej na umiłowaniu krzyża Chrystusowego i zranionego oblicza Jezusa – *Ecce homo*.

Milczący i zapatrzony w krzyż Brat Albert jest niezwykle przewodnikiem dla współczesnego chrześcijanina.

„Głos Brata Alberta”

Kwartalnik, wydawany przez DPS prowadzony przez Zgromadzenie Sióstr Albertynek Posługujących Ubogim Słupia 91, 28-133 Pacanów, tel. (0-41) 376 54 13

Ukazuje człowiekowi możliwości odkrywania Boga w codzienności i spotykania się z Nim w ludziach potrzebujących pomocy, często zapomnianych i odrzuconych przez społeczeństwo. Pomaga w przemyśleniu zasadniczych spraw, przed którymi staje każdy człowiek: stworzenie i odkupienie, grzech, życie wieczne, wybór drogi życiowej, radykalizm postaw, wierność danemu słowu, zjednoczenie z Chrystusem, modlitwa kontemplacyjna.

Były powstaniec i malarz może przerazić radykalizmem formułowania sądów i bezwzględnością stawianych wobec siebie wymagań. Brat Albert nie pozwala rozmyślać nad swoimi słabościami, lecz każe patrzeć odważnie w zranione oblicze Chrystusa. Jego droga wyrzeczenia, zaparcia się siebie i odważnego pójścia za Chrystusem cierpiącym wyznacza pewny szlak, prowadzący do zjednoczenia z Bogiem w kontemplacji.

2. Radykalny wybór

Życie Adama Chmielowskiego wyraźnie dzieli się na dwa okresy: dzieciństwo i młodość naznaczone działalnością powstańczą i twórczością malarską oraz wiek dojrzały obejmujący działalność charytatywną i życie zakonne poświęcone służbie ubogim. W pierwszym okresie jawi się on jako młodzieniec niespokojny, który nieustannie szuka, nie mogąc znaleźć miejsca dla siebie. Po śmierci ojca wędruje razem z matką i rodzeństwem z rodzinnej Igołomi do Warszawy. Jako syn urzędnika carskiego ma prawo do szkoły rosyjskiej, dlatego podróżuje do Petersburga, do szkoły kadetów. W obawie przed utratą tożsamości narodowej matka zabiera go do Szkoły Rolniczo-Leśnej w Puławach.

Nauka w Puławach przypadła na czas przygotowań do powstania styczniowego. 17-letni Adam Chmielowski bez wahania zaangażował się w walkę o niepodległość Ojczyzny. Wzięty do niewoli został osadzony w twierdzy w Ołomuńcu, skąd szybko uciekł, by włączyć się w walki powstańcze. Był ranny w bitwie pod Mełchowem na kielecczyźnie. Operował go rosyjski lekarz, któremu zaimponował niezwykłą wytrzymałością na ból. Wyjechał do Gandawy na studia techniczne, które szybko przerwał, ponieważ się zorientował, że to nie jest jego powołanie. Kolejnym etapem był Paryż, a potem Monachium, gdzie kontynuował studia malarskie. Odbył podróż do Włoch, szukając natchnienia dla sztuki. Malował w Warszawie, Krakowie i Lwowie, wystawiając z powodzeniem swoje obrazy. Rozwijał przyjaźnie z wielkimi artystami epoki, wśród których była aktorka Helena Modrzejewska, muzyk i literat Antoni Sygietyński oraz malarze, jak A. Gieryski, J. Chełmoński, J. Brandt, i St. Witkiewicz. Tak bogate w wydarzenia życie artystyczne nie dawało mu satysfakcji. Nieustannie ocieierał się o straszną pustkę, którą pogłębiała jeszcze bardziej rosnąca sława.

Malując swoje obrazy, Chmielowski szukał ideału, do którego nie mógł w żaden sposób dotrzeć, ani przez działalność powstańczą ryzykując życie dla sprawy Ojczyzny, ani przez oddanie twórczych sił dla sztuki.

W pełni sławy i powodzenia artystycznego Chmielowski podjął decyzję wstąpienia do Zakonu Jezuitów. Niezrozu-

miały dla najbliższych krok, wyjaśniał w liście do przyjaciółki, wybitnej aktorki, Heleny Modrzejewskiej pisząc z nowicjatu w Starej Wsi: „Już nie mogłem dłużej znosić tego złego życia, którym nas świat karmi, nie chciałem już dłużej tego ciężkiego łańcucha nosić. Świat jak złodziej wydziera co dzień i w każdej godzinie wszystko dobre z serca, wykrada miłość dla ludzi, wykrada spokój i szczęście, kradnie nam Boga i niebo. Dla tego wszystkiego wstępuję do zakonu; jeżeli duszę bym stracił, cóżby mi zostało” (*List do Heleny Modrzejewskiej*, Pisma, s. 60).

Pracując niezwykle aktywnie, Adam Chmielowski postawił sobie zasadnicze pytanie o sens życia, codziennych wysiłków oraz o sens miłości, którą każdy nosi w swoim sercu. Malarstwo, dla którego się poświęcił, nie mogło nadać ostatecznej treści jego życiu. Po kolejnych wystawach obrazów i chwilach radości z powodu sukcesów i sławy przychodziło ponownie pytanie o Boga jako ostateczną prawdę i piękno: „Wiele myślałem o życiu, kto jest ta królowa sztuka – i przyszedłem do przekonania, że jest to tylko wymysł ludzkiej wyobraźni, a raczej straszne widmo, które nam rzeczywistego Boga zasłania. Sztuka to tylko wyraz i nic innego, dzieła tej tak zwanej sztuki są to zupełnie przyrodzone objawy naszej duszy, są to nasze własne dzieła i mówiąc po prostu, dobra jest rzecz, że je robimy, bo to naturalny sposób komunikacji i porozumienia się między nami” (*List do Heleny Modrzejewskiej*, Pisma, s. 61). Refleksja nad sensem życia trwała u Adama Chmielowskiego rzeczywiście bardzo długo. W sierpniu 1880 roku, gdy wstępował do starowiejskiego nowicjatu, miał już trzydzieści cztery lata. Przeżył bujne porywy serca gotowego do ofiary za Ojczyznę. Dał z siebie wszystkie zdolności dla sztuki, która miała doprowadzić go do ideału piękna, dobra i miłości. Na koniec tych poszukiwań ujrzał straszną pustkę szukania bez końca siebie samego: „Ale jeżeli w tych działach kłaniamy się sobie – a oddajemy wszystko na ofiarę, to, choć to się nazywa zwykle kultem dla sztuki, w istocie rzeczy jest tylko egoizmem zamaskowanym; ubóstwiać siebie samego – to przecież najgłębszy i najpodlejszy gatunek bałwochwalstwa...” (*List do Heleny Modrzejewskiej*, Pisma, s. 61).

Przerażający wniosek, jaki postawił po długim zastanowieniu nad sobą był owocem wcześniejszych rozczarowań i zawodów spowodowanych dążeniem do sławy i sukcesów. Gorzko brzmią słowa oskarżenia wobec sztuki, która staje się pogonią za rozgłosem i uznaniem u publiczności. Wyczuwa się w nich ogromny smutek, który można przełamać tylko radykalnym wyborem Boga: „Sztuka i tylko sztuka, byle jej uśmiech albo cień uśmiechu, byle jedna róża z wianka bogini, bo z nią sława i dostatek, i osobiste zadowolenie – mniejsza o resztę; gubi się w szalonej gonitwie rodzinę, moralność, ojczyznę, związek z Bogiem, gubi wszystko, co dodatnie i święte – lata uciekają, organizacja fizyczna niszczy się, a z nią i talent tak zwany – zostaje tylko rozpacz albo idiotyzm na dzień czaszki – poza tym śmierć – ale żeby tylko śmierć i nicość, ale i to nie, bo dusza nie umiera nigdy” (*List do Heleny Modrzejewskiej*, Pisma, s. 61).

Dążąc do sławy i popularności, Adam Chmielowski uświadomił sobie, iż w tej wielkiej pogoni za względami sztuki zaczynał tracić siebie. Malując i szukając ideału sztuki, do-

szedł do przekonania, że szukał siebie, zamykając się w sobie i odcinając od Boga.

Złudzenie sukcesu drażyło w nim straszną pustkę, której nic nie mogło wypełnić. Chmielowski uświadomił sobie, że życie, które otrzymał od Boga, marnuje na próżne sprawy. Był przekonany, że źle używa zdolności i talentów. Zamiast dzielić się miłością gubił siebie samego: „Słowacki, którego Pani tak bardzo lubi, mówi, że >>talenta są to w ręku szalonych latarnie, ze światłem idą topić się do rzeki<<. Jakież to okropne, a jakże często prawdziwe. Choć nie wiem, czy talent mam czy tylko talencik, to wiem jednak z pewnością, że jestem w drodze do powrotu znad samego brzegu tej smutnej rzeki, a wielu ich pochłonęła, tych nieszczęśliwych topielców i wielu wciąż pochłania” (*List do Heleny Modrzejewskiej*, Pisma, s. 60-61).

Pragnienie czynienia dobra, które Bóg zapalił w jego sercu, było tak mocne, że nie zawahał się poświęcić talentu malarskiego, zrezygnować z kariery, by na nowo odzyskać siebie i Boga.

Na „brzegu rzeki”, do której po latach dopłynął dzięki Bożej łasce, odkrył miłość Boga objawioną w śmierci Jednorodzonego Syna. Poza nicością śmierci dostrzegł radość bycia dzieckiem Bożym, odkupionym przez Krew Chrystusa: „Boć sam Pan Bóg kupił nas za synów i wszystką krwią swoją zapłacił, że już tylko woda pociekła; nie mógł ich taniej dostać, żeby przedział między człowiekiem stworzonym i Stworzycielem zapelnąć” (*List do Heleny Modrzejewskiej*, Pisma, s. 61).

W liście napisanym do Heleny Modrzejewskiej ze starowiejskiego nowicjatu przebija radość i gorliwość neofity, który zaczyna rozumieć prawdy objawione i doświadcza mocy Boga przemieniającego życie.

Niezwykle ambitny artysta, szukający ideału, który nie poddaje się przy pierwszej napotkanej przeszkodzie, przekonywał swojego przyjaciela, wielkiego artystę Józefa Chełmońskiego do zmiany postawy: „Mój drogi Józefie, jeżeli z Panem Bogiem zerwałeś, zawiąż go na nowo i żyj jak prawy syn Boski, bo wielka jest godność twoja jako chrześcijanina na niebie i na ziemi. Kto z Bogiem zerwał, zawiązał z kimś drugim i tamtemu dał nad sobą prawo. Nie ma nic trzeciego, ani tu, ani tam – jest tylko Bóg albo diabeł. Nicości nie ma po śmierci, bo dusza nieśmiertelna jest. My mamy wolę robić, jak chcemy i iść na prawo albo na lewo, a czy tak trudna ta droga na prawo?” (*List do Józefa Chełmońskiego*, Pisma, s. 58). Chmielowski przestrzegał swojego przyjaciela przed związaniem się z diabłem, które zawsze grozi człowiekowi, gdy oddala się od Boga.

Nie chciał straszyć, lecz ukazywał możliwość wyboru Boga przez dobre życie w małżeństwie i wypełnianie Bożych przykazań. Momentem zwrotnym w odrzuceniu diabła i wyborze Boga jest spowiedź, do której Adam Chmielowski zachęcał przyjaciela w liście: „Nie powiem Ci: idź do zakonu, masz żonę i dziecko. Małżeństwo to też zakon bardzo święty i ma cały szereg świętych obowiązków, wystarczy, żeby człowieka dobrej woli do nieba zaprowadzić; ale Ci radzę, żebyś przykazań pilnował, a do spowiedzi szedł, jak możesz często i ile razy Ci się zdaje, żeś się zawalał i na swoich nogach nie stoisz” (*List do Józefa Chełmońskiego*, Pisma, s. 58).

Starowiejski nowicjusz odkrył miłość, która nie tylko dała mu siłę do zmiany życia, ale również odwagę pisania do przyjaciela, by ratować jego duszę. Miłość prowadziła go do odkrycia Boga, który jest większy niż sztuka malarska i wszelkie ideały.

Adam Chmielowski jeszcze raz powrócił do tematu sztuki malarskiej, tak drogiej jego sercu. Odkrywając Boga miłości, nie miał jednak już wątpliwości, że Bóg musi być na pierwszym miejscu, by duszy swojej nie zgubić i sztuki nie uczynić szukaniem samego siebie: „Zanadto dobry jesteś artysta, żebyś miał nie wiedzieć, co jest ze sztuką i jak jest i brać na serio estetyczne blażeństwa; zanadto też znowu rozumny jesteś człowiek, żebyś miał sądzić, że Pana Boga nie ma, a światy i ludzie z jakiegoś przypadku powstały” (*List do Józefa Chełmońskiego*, Pisma, s. 57).

W nowicjacie u jezuitów poczuł się szczęśliwy, odkrywając Boga i sens swojego życia. Cieszył się, że mógł nadal malować. Do Starej Wsi zabrał ze Lwowa rozpoczęty obraz *Ecce homo*. Chrystus cierpiący towarzyszył dokonującemu się w Adamie Chmielowskim radykalnemu wyborowi drogi życiowej.

Bycie dzieckiem Bożym i doświadczenie bliskości Boga, dobrego Ojca natchnęło go do działania, które wyraziło się w niezwykłej gorliwości misjonarskiej. Chciał nawrócić swoich przyjaciół. Dzielił się z nimi głębokimi przemyśleniami, jak szukać Boga i jak odkrywać go w sakramencie pokuty i w Komunii Świętej. Gorzka refleksja nad sztuką prowadziła nie tyle do odrzucenia malarstwa, ile do zmiany hierarchii wartości: „Czym byłem, zanim się urodziłem? Niczym. Skąd wziąłem byt? – od Boga. Kto utrzymuje mój byt? – P. Bóg. Wszystko czym jestem i co mam, dał i daje mi Bóg. Nic nie jest moją własnością tylko nicość, jestem niczym sam ze siebie, wszystko inne jest Boga własnością. Mam mu wszystko oddawać i siebie samego. Po tom stworzony, żeby chwalić, czcić i służyć Bogu, a nie potrzebuje Bóg tego dla Siebie, ale dla mnie, żebym zbawił duszę, bo chce Pan Bóg, żebym zbawił duszę”. (Pisma, s. 187).

Odkrywany w sercu Bóg miłości odsłonił przed nim, ile było próżności w pogoni za sławą i sukcesem. Jednocześnie ukazał mu możliwości oddania talentu i wszystkich sił życiowych dla spełniania dobra.

Odważna decyzja rezygnacji z kariery malarskiej przyniosła najpierw wielki kryzys w życiu duchowym Brata Alberta. Ostatecznie jednak czas próby okazał się błogosławiony. Na końcu długiego tunelu ciemności duchowych, skrupułów, wyrzutów sumienia i wątpliwości zobaczył mocne światło bijące z twarzy Chrystusa ukoronowanego cierniem. Takiego Mistrza wybrał zdecydowanie Brat Albert.

3. Umiłowanie Krzyża

Mimo zmartwychwstania tajemnica krzyża pozostaje największym pytaniem dla uczniów Chrystusa pomimo zmieniających się czasów i warunków życia. Adam Chmielowski stawał wielokrotnie wobec tajemnicy cierpienia i krzyża, który dotykał go w jego życiu: śmierć ojca, gdy miał osiem lat, a w sześć lat później matki. Niepowodzenie powstania styczniowego i osobisty dramat z powodu utraty lewej nogi

w wyniku rany odniesionej w potyczce z oddziałem rosyjskim pod Melchorem postawiły go wobec tajemnicy śmierci. Młody powstaniec z odwagą zniósł straszny ból w czasie operacji amputacji nogi, budząc podziw i sympatię u rosyjskiego lekarza. Cierpienie kalectwa, metalową protezę lewej nogi nosił Adam Chmielowski przez całe dojrzałe życie. Rzeźbiło ono mocno duszę powstańca i artysty, przygotowując do podjęcia tajemnicy krzyża.

Wielkim doświadczeniem cierpienia stało się dla Adama Chmielowskiego przeżycie, które go spotkało w nowicjacie jezuickim w Starej Wsi. W czasie rekolekcji ignacjańskich, gdy rozważał sprawy grzechu i potępienia wiecznego, pojawiły się u niego straszne skrupuły, wyrzuty sumienia i ogromne poczucie winy. Widząc swoje grzechy z przeszłości, czuł się potępionym na wieki. Natrętne myśli były tak ostre, iż przełożeni zakonnicy skierowali go na leczenie do szpitala psychiatrycznego w Kulparkowie. Małomówny Brat Albert wyjaśniał lapidarnie to straszne przeżycie: „Byłem przytomny, nie postradałem zmysłów, ale cierpiałem okropne męki i najstraszliwsze katusze; torturowały mię przerażające skrupuły” (M. Winowska, *Opowieść o człowieku*, s. 89).

Dzięki interwencji przyjaciela, malarza Józefa Chełmońskiego, Chmielowski po kilku miesiącach pobytu został zwolniony ze szpitala i zamieszkał u swojego brata Stanisława w Kudryńcach na Podolu. Skrupuły i obsesje nie ustąpiły jednak od razu. Zły smutek dręczył jego duszę. Adam Chmielowski nie odzywał się do nikogo, nie wychodził z pokoju, nawet nie miał odwagi pójść do kościoła na Mszę Świętą. Katusze potępińca drążyły jego wnętrze. Przeżywał ataki rozpacz i trwogi. Chciał kochać Boga porzucając dla niego wszystko, a miał wrażenie, jakby Bóg odrzucił go na wieki. Chciał kochać Boga, a On poddawał go próbom. Im bardziej Bóg odsłaniał mu jego powołanie, tym boleśniej Adam przeżywał swoją nicość.

Przypadkowa rozmowa z ks. Pogorzelskim, proboszczem z Szarogrodu przyniosła mu ukojenie. Kapłan ten wyspowiadał Chmielowskiego i polecił mu przyjąć Komunię świętą. Było to najlepsze lekarstwo na jego cierpienia duchowe. Odśloniło przed nim sens krzyża, ukazując sens działania. Adam Chmielowski zaczął na nowo malować obrazy i odnawiać przydrożne kapliczki na Podolu. U ks. Pogorzelskiego odkrył regułę Trzeciego Zakonu św. Franciszka. Zapoznał się z nią i odkrył, jak ma nieść krzyż swojego życia. Złożył śluby jako tercjarz i przyjął imię Brata Alberta. Od tej chwili oddał się całkowicie krzewieniu idei tercjarstwa wśród prostego ludu.

Św. Franciszek ukazał Adamowi Chmielowskiemu, jak pokochać krzyż Chrystusa, jak objąć go mocno obiema rękami i nieść przez życie. Chociaż jeszcze malował, już wiedział, że swoje życie musi poświęcić dla głoszenia Chrystusa ludziom najprostszym, najbardziej potrzebującym Boga. Biedaczyna z Asyżu pokazał mu Chrystusa cierpiącego i zbawczy sens Jego krzyża. Jednocześnie odsłonił przed nim radość niesienia tego krzyża, który jest nadal cierpieniem, ale nie bezsensownym, lecz dającym szansę zjednoczenia z Jezusem.

Brat Albert odkrył tajemnicę krzyża, która obejmuje całkowite posłuszeństwo Jezusa, Syna Bożego woli Ojca,

dopełnione przez śmierć. W ten sposób Chrystus pokonał grzech, który był nieposłuszeństwem pierwszych rodziców. Cierpienie i śmierć Jezusa, które są wyrazem niemocy i słabości, stały się paradoksalnie początkiem nowego życia: „Miłość krzyża nie jest czuła. Pan Jezus w Ogrojcu nie miał mniej miłości jak na górze Tabor. Miłość krzyża opiera się na chęci podobieństwa z Chrystusem, na zgadzaniu się z wolą Jego. Na zimno, niewzruszenie dusza się decyduje na nagi krzyż. Zapewne, że Bóg daje pociechy, potoki, rozkosze takie, że święte dusze skarżyły się na nie, ale nigdy ich nie szukały i nie pragnęły, tylko krzyża; że jest naczyniem wybranym, ja mu okażę, jak wiele ma cierpieć” (Pisma, s. 189). Brat Albert nie żył już złudzeniami. Wiedział, że krzyż jest cierpieniem samotności, odrzucenia, niezrozumienia, wyszydzenia i drwiny. Obejmuje słabości duchowe i fizyczne. Jest bólem przekraczającym ludzką wytrzymałość. Niesiony razem z Chrystusem staje się źródłem niespożytej mocy.

Pragnąc bardzo być uczniem Chrystusa, Adam Chmielowski z ogromną determinacją zdecydował się wziąć ten krzyż, by być wiernym wezwaniu Mistrza: „Krzyż jest tajemnicą, wymaga wiary. Krzyż jest światłem, które oświeca umysł, szczęśliwy, kto mu odda serce i dostanie łaskę miłowania. Uczestnictwo w męce. Byliśmy odkupieni krwią, czy możemy się zbawić, nie cierpiąc” (Pisma, s. 188).

Nie pytał o sens cierpienia. Nie oglądał się za siebie, patrząc na sztukę, którą powoli zostawiał, choć ciągle jeszcze malował. Brat Albert widział już tryumf Chrystusa cierpiącego. Krzyż odsłonił przed nim szansę całkowitego uwolnienia od własnych grzechów i czynienia dobra dla bliźnich.

Wyrazem świadomej decyzji przyjęcia krzyża cierpienia, niezrozumienia i samotności stał się drewniany krzyż, który Brat Albert odkrył na strychu kościoła Bożego Ciała w Krakowie. Zabrał ze sobą, odnowił i umieścił w pustelni na Kalatówkach.

Cierpienie mocno dotknęło całe życie św. Brata Alberta, od najwcześniejszych lat dzieciństwa, aż do ostatnich chwil życia. Ojciec ubogich umierał w strasznych cierpieniach spowodowanych nowotworem żołądka. Spotkanie z krzyżem Chrystusa, który ukazał mu Św. Franciszek, odsłoniło przed nim niezwykle tajemnicę cierpienia Syna Bożego, wyzwajającego człowieka spod władzy zła i grzechu. Adam Chmielowski wybrał krzyż Zbawiciela świadomie, przyjmując na siebie słabości najbiedniejszych. Odkrył w ten sposób wielką moc Boga, który umierając, stał się tryumfującym Zwycięzcą „śmierci, piekła i szatana”. Z krzyża spłynęły na Brata Alberta promienie radości, które wypełniły do końca jego serce.

4. Ecce homo – odnaleziony obraz Boga

Początkiem wewnętrznej przemiany Adama Chmielowskiego, Brata Alberta stało się odkrycie Boga. Długie poszukiwanie prowadziło go przez wielką przygodę ze sztuką, przy pomocy której pragnął dotrzeć do istoty piękna, oczekując odkrycia tego, co nieprzemijalne. Nie odrzucił sztuki, lecz konsekwentnie poszedł dalej, w tym kierunku który odsłoniła przed nim sztuka, gdy zaczął malować obraz *Ecce homo*.

Odkrywanie prawdziwego oblicza Boga rozpoczęło się w 1879 roku we Lwowie, gdy Adam Chmielowski, ku wielkiemu zdziwieniu swoich najbliższych, zdecydował się malować obraz Chrystusa ukoronowanego cierniem, którego Piłat ukazał światu, zwracając się słowami: *Oto człowiek* (łac. *Ecce homo*; por. J 19,5). Chmielowski był wówczas u szczytu swoich możliwości artystycznych. Malował dużo, szukając dla swoich obrazów tematów w naturze. Powoli zbliżał się do tematyki religijnej, malując wizję św. Małgorzaty Marii Alacoque. Fascynowała go postać Fra Angelica, brata dominikańskiego, który swój talent malarski poświęcił Bogu, łącząc bycie zakonnikiem i artystą.

We wrześniu 1879 roku Chmielowski wstąpił do jezuitów w Starej Wsi. Zabral ze sobą obraz Chrystusa ukoronowanego, by malować dalej. Z nowicjatu pisał listy do przyjaciół, uzasadniając swoją decyzję. W liście do Józefa Brandta, który się ożenił, przypominał mu o potrzebie wierności drodze, którą podjął, zapewniając o swojej modlitwie. Bliźniego przyjaciela, Józefa Chełmońskiego zachęcał do przystąpienia do spowiedzi. Ukazywał mu Chrystusa przebaczącego grzechy, który daje szansę zerwania ze złym życiem i wewnętrznej przemiany. W liście uderza niezwykła szczerość artysty i głębokie przeżycie spotkania z Chrystusem przebaczącym: „Zanadto dobry jesteś artysta, żebyś miał nie wiedzieć, co jest ze sztuką i jak jest i brać na serio artystyczne błazeństwa; zanadto też znowu rozumny jesteś człowiek, żebyś miał sądzić, że Pana Boga nie ma, a światy i ludzie z jakiegoś przypadku powstały. Dlatego Ci piszę i radzę, jak twój szczerzy brat i kolega, żebyś się ratował i po prostu, po chłopsku do spowiedzi poszedł, jak możesz najprędzej: »żebyś miał grzechy czerwone jak krew, wybieleją Ci jak śnieg«, bo za nie Chrystus Pan odcierpiał na krzyżu” (*List do Józefa Chełmońskiego, Pisma, s. 57*).

Spotkanie z Chrystusem cierpiącym było brzemienne w skutki dla całego życia Chmielowskiego. Wielokrotnie zanurzał się w tajemnicę Sługi Jahwe, który wziął na siebie wszystkie grzechy człowieka. Wpadał w smutek, przeżywając prawdę o odrzuceniu i wzgardzeniu Chrystusa przez najbliższych. Zachwycał się niezwykłą odwagą Syna Bożego, który z przerażającym spokojem przyjął cierpienie.

Malując obraz *Ecce homo*, Brat Albert długo wpatrywał się w zniszczoną twarz Chrystusa. Wpadał w zachwyt i przerażenie, aż w końcu zrozumiał Bożą pedagogię polegającą na tym, że Syn Boży wybrał drogę cierpienia i śmierci, odrzucenia i poniżenia, nieludzkiego wzgardzenia i wyszydzenia: „Królu niebios cierniem ukoronowany, ubiczowany, w purpurę odziany, Królu znieważony, oplwany, bądź królem i panem naszym tu i na wieki. Amen” (*Pisma, s. 191*).

W ten sposób odkupił człowieka z niewoli grzechu. Na drodze św. Franciszka Brat Albert zrozumiał prawdę o nieskończonej miłości Boga do człowieka wyrażającą się w wydaniu swojego Syna na śmierć (por. J 3,16). Jest to prawda o potrzebie cierpienia Boga dla zbawienia człowieka, w cierpieniu bowiem i w śmierci Bóg jest najbliżej ludzi.

Przeżycie bliskości Chrystusa cierpiącego zostawiło głęboki rys w duchowości Brata Alberta. Chciał, aby Jezus odrzucony i poniżony był Panem jego serca i myśli. Szukał tylko drogi, która pozwoliłaby mu być zawsze z Chrystusem.

5. Odkrycie Chrystusa w ubogich

Głębokie i bolesne przeżycie prób wiary w „nocy ciemnej” zaprowadziły św. Brata Alberta do Chrystusa ukrzyżowanego, do którego przyłgnał definitywnie, zdecydowany poświęcić dla Niego całe swoje życie. Wielką pomocą był dla niego malowany od czasów lwowskich (1878) obraz *Ecce homo*, którego nie chciał nikomu oddać, a podarował dopiero na wyraźną prośbę arcybiskupowi Szeptyckiemu, metropolicie greckiemu we Lwowie. Obraz ten był syntezą jego długich poszukiwań obejmujących proces odchodzenia od sztuki i zamieniania artystycznych zdolności na pracę dla bezdomnych, włóczęgów, alkoholików, bezrobotnych.

W nowicjacie jezuitskim w Starej Wsi Adam Chmielowski wiedział, że musi zmienić styl swojego życia, otworzyć się na Boga przez regularną modlitwę, udział we Mszy świętej, codzienną Komunię świętą. Odkrył Boga osobowego, który kocha człowieka, myśli o nim, troszczy się o niego i obdarza swoją łaską. Głęboka refleksja prowadziła go do radykalnego wyboru.

W doświadczeniu „nocy ciemnej” Brat Albert dostrzegł wyraźnie swoje słabości i wielkość Boga. Bardzo cierpiał z tego powodu, że tak długo nie odpowiadał na miłość Boga. Szukał sposobu, jak wyrazić swoją miłość do Boga. Spotkanie z Chrystusem cierpiącym, odrzuconym, ubiczowanym, ukrzyżowanym, który najpełniej odsłania miłosierdzie Boga wobec człowieka, stało się pierwszym promieniem światła, które wskazało mu drogę konkretnego działania.

Na Podolu Brat Albert zainteresował się tercjarstwem franciszkańskim. Odnawiał obrazy w kościołach i figury w przydrożnych kapliczkach. Zapalał ludzi do zaangażowania się w ruch franciszkański. Po powrocie do Krakowa prowadził jeszcze przez jakiś czas pracownię malarską na ul. Basztowej, a potem przy placu Matejki. W Krakowie zaczął zapraszać do swojego mieszkania pierwszych włóczęgów. Czasem kupił chleba i wędliny i zaniósł do ogrzewalni. Bywał w salonach arystokratów krakowskich, prosząc o wsparcie materialne dla biednych. Jego znajomi i przyjaciele tolerowali te dziwne pomysły Chmielowskiego. W nocy wychodził coraz dalej na krakowski Kazimierz, aż w końcu pewnej nocy, gdy postawił kosz z jedzeniem przed mieszkańcami ogrzewalni, usłyszał słowa wyrzutu: „Chcesz uspokoić swoje sumienie tym kawałkiem chleba?”

Brat Albert zatrzymał się na dłużej i zastanawiał, jak może zaradzić tej nędzy, nie tylko materialnej, ale przede wszystkim moralnej. W jego sercu zrodziła się decyzja zamieszkania razem z bezdomnymi w ogrzewalni. Myśl, która zrodziła się w jego sercu, przekraczała zwykłą dobroczynność. Chmielowski, będąc już wówczas tercjarzem franciszkańskim, wiedział, jak ma kochać Boga: „Mam Mu wszystko oddawać i siebie samego. Po tom stworzony żeby chwalić, czcić i służyć Bogu, a nie potrzebuje Pan Bóg tego dla Siebie, ale dla mnie, żebym zbawił duszę, bo chce Pan Bóg żebym zbawił duszę. Wszystko inne stworzone dla człowieka i na to, żeby mu pomagało do celu, dla którego stworzony jest. Mamy zatem być obojętni co do wyboru środków do naszego celu i we wszystkich rzeczach to wybierali, co nam lepiej służy do celu” (*Pisma, s. 187*).

Dlatego decyzja zamieszkania w ogrzewalni, niezrozumiała dla przyjaciół, była czymś oczywistym dla Brata Alberta. Konsekwentnie wybierał Chrystusa znieważonego i ubiczowanego w cierpiącym człowieku. Ubogi, bezdomny prowadził go do Chrystusa: „Pan Jezus jako człowiek oddał Bogu Ojcu chwałę najwyższą, cześć najgłębszą i służbę zupełną, jakiej tylko Bóg jest godzien. Wstąpił do nieba i zasiadł na prawicy Bożej i zapewnił dokonywanie tego celu aż do skończenia czasów. Chrześcijanie prawdziwi (Chrześcijanin drugi Chrystus) zastępują Go w Nim i oddają Bogu chwałę, cześć i służbę zupełną i powracają do swego początku, czyli do Boga, a to przez Chrystusa Pana i w Nim. („Jam jest droga i prawda, i żywot, nikt nie przychodzi do Ojca tylko przeze mnie”). Chrystus nie tylko w niebie żyje, ale i między nami w Najświętszym Sakramencie i w duszach prawdziwych chrześcijan” (Pisma, s. 187).

Modlitwa, codzienna Msza Święta i Komunia święta w posłudze dla Chrystusa cierpiącego obecnego w bliźnim stawały się wyrazem miłości do Boga.

Brat Albert odkrył największą prawdę chrześcijaństwa o Wcieleniu Boga i o przeobstwieciu człowieka. Bóg wszechmocny, Stworzyciel świata i człowieka w swoim Synu Jednorodzonego staje się człowiekiem, dzieląc z nim swój los. Bóg w Chrystusie przeżywa ludzkie radości i troski, cierpi, doświadcza głodu i odrzucenia. Dlatego nakazał braciom: „A mają też bracia służyć najuboższym, upatrując w nich Chrystusa Pana ubogiego, który powiedział: Coście uczynili jednemu z tych najmniejszych, Mnieście uczynili” (Pisma s. 171). Z tej prawdy o znizeniu się Boga do człowieka w Chrystusie przez całkowite ogołocenie (Flp 2,5-11), wyzbycie się siebie, przyjęcie postawy sługi Brat Albert wyprowadził wniosek porzucenia wygodnego mieszkania i dostatniego życia. Przyjął upokorzenie życia w ogrzewalni, franciszkańskie ubóstwo polegające na odrzuceniu posiadania czegokolwiek, niezrozumienie ze strony przyjaciół i nędzarzy.

Przez to ogołocenie z wszystkiego, co posiadał, chciał być jak najbliżej Chrystusa: „Czy Panu Jezusowi cierpiącemu mękę i za mnie ukrzyżowanemu mogę czego odmówić? Czy mogę odmówić męki dla niego i krzyża, gdybym je z łaski i woli najświętszej miał cierpieć i mógł? Czybym chciał cierpieć? Gdyby w tym była jaka chwała Boska? W tej i każdej rzeczy: >>Bądź wola Twoja<< (Pisma, s. 188).

Brat Albert pojmował stopniowo, że dzieło Zbawienia człowieka dokonano się przez cierpienie, krzyż i śmierć Chrystusa, dlatego pragnąc Go kochać, wiedział, że nie może uciekać przed cierpieniem. W duchu wdzięczności Zbawicielowi brał swój krzyż, wchodząc w relację niezwyklej intymności z Jezusem. On stawał się Umiłowanym jego duszy, celem wszystkich pragnień.

Z zachwytu Chrystusem cierpiącym wyrósł akt ofiarowania się Jezusowi, który był codzienną modlitwą Brata Alberta i wszystkich sióstr i braci: „Oddaję Panu Jezusowi moją duszę, rozum, serce i wszystko co mam. Ofiaruję się na wszystkie wątpliwości, oschłości wewnętrzne, udęczenia i męki duchowe, na wszystkie upokorzenia i wzgardy, na wszystkie boleści ciała i choroby, a za to nic nie chcę ani teraz, ani po śmierci, ponieważ tak czynię z miłości dla samego Pana Jezusa” (Pisma, s. 198).

Radykalny wybór Jezusa był dla Brata Alberta początkiem głębokiej relacji z Bogiem. Pan Jezus uczył go relacji do Ojca, przyjmowania woli Bożej i kochania braci. Chrystus był źródłem miłości i celem, do którego zmierzał pośród codziennych zajęć.

Św. Brat Albert Chmielowski ukazuje możliwość radykalnego otwarcia się na potrzebujących. Początkiem tego procesu jest rozważanie prawd ostatecznych, spotkanie z Chrystusem cierpiącym i ukrzyżowanym, odkrywanie Jego znieważonego oblicza, w drugim człowieku. Adam Chmielowski jest nauczycielem radykalnych wyborów, podejmowanych w porwie serca i przerażającej konsekwencji trwania przy raz podjętej decyzji aż do końca. Pokazuje, że jest możliwe całkowite ubóstwo, nawet jeśli człowiek już zdążył przyzwyczaić się do wygod cywilizacyjnych. Jego rezygnacja z wygodnego mieszkania i czystego łóżka jest wyzwaniem dla każdego chrześcijanina, który chce pójść drogą Chrystusa ubogiego.

Gorliwy naśladowca św. Franciszka z Asyżu człowiekowi XX wieku chce powiedzieć, że jest możliwe radykalne ubóstwo oraz że największą radością ucznia Chrystusowego jest miłość odrzucona, wyszydzona i niechciana, ponieważ daje ona wielką szansę zbliżenia do Jezusa i całkowitego zjednoczenia z Nim w ludziach ubogich i potrzebujących.



Notatnik rekolekcyjny*

Wola Boża przede wszystkim i tylko to.

Mała ufność w Opatrzność Boską – niepamięć na P[ana] Boga.

Przyjmować wszystko, co się zdarza, i tego chcieć jako woli Boskiej, to są środki zbawienia, przykrość pewniejszy środek.

Pan Jezus niech sprawy załatwia.

Drzewo do wycięcia – nęcza – Pan Jezus chce się zmiłować.

Nie trać, bracie, nadziei postąpienia w duch[owym] życiu, oto jeszcze czas i godzina po temu.

Być wiernym w modlitwie.

Zgrzeszyć powszednio – lepiej śmierć.

Zdać się na Boga całkowicie – upokorzyć się.

Uczyć się umierać – umierać codziennie.

Jakie życie, taka śmierć.

Czynić to, co doskonalsze.

Zasłużyłem na piekło – czym moje terażniejsze cierpienia.

Pokutować. Bóg zamienił piekło na pokutę w tym życiu.

Oziębłość – czyni uczynki pierwsze.

Modlić się – skupienie – wtedy jestem roztargniony, kiedy chcę być roztargniony.

Pomogło. – Być zwróconym do Boga i do doskonałości, unikać najmniejszej niedoskonałości.

Umartwienie jakiej?

Namiętności

zmysły,

Język – w gniewie – w milczeniu, kiedy jest ochota mówienia.

Oczy – nie przypatrywać się osobliwościom.

Uszy – próżne mowy, lekkie słowa, obmowy.

Pozbawiać się wszystkiego, czego się pożąda.

Pasek, dyscyplina? Twarde łóżko? Tabaka.

Dwa rodzaje nocy – zmysłów i ducha – w tej drugiej stan czynny i bierny. Porzucenie wszystkiego, co stworzone, początek drogi – noc zmysłów i instynktów. Droga do zjednoczenia – wiara, czyli noc pojęcia. Kres, czyli Bóg, zatem noc dla władz.

Przestwory myśli – stworzenie, odkupienie, dary, jasność i pogoda, spokój.

Pałająca chęć, żeby wszystko poddać, żeby nic nie zostało.

Drzwi otwarte – pokorą za Komunię trzeba zapłacić, miłość chce tego, profesja.

Skupienie w środku duszy, transformacja w Słowo przez miłość.

Szukać Boga w Wierze i Miłości, nie chcąc znajdować ani zadowolenia, ani używania w żadnej rzeczy stworzonej i nie chcąc rozumieć więcej jak z tego, co powinienem wiedzieć.

Szukać Go w tajemnicy Wiary, zatem nie zadowalniać się tym, co rozumiem albo czuję z Boga, ale się tym karmić, czego w Nim nie rozumiem.

Mój Ukochany, zostawiłeś mię w jękach.

Tylko przez miłość można coś od Boga uzyskać.

Zadowolenie znachodzi się nie w posiadaniu wszystkich rzeczy, ale w pozbawieniu, w nagości i ubóstwie; ubóstwo – Perła Ewangeliczna.

Umartwienie, pokora, modlitwa i krzyż; nie zatrzymywać się w dobrach doczesnych zmysłowych i pociechach duchownych.

Szukać Boga – jedyny cel życia.

Wielość łask, które się traci dla bagatek i drobnostek światowych – prosty i pojedynczy pokarm, w którym są wszystkie smaki.

Obietnica: czynić, co doskonalsze.

Zrzeczenie się inklinacji, które są przyrównane do zwierząt pasących się na widoku góry świętej.

Doskonałość polega wyłącznie na pozbyciu się wszelkiej żądzy niedoskonałej.

1. Odrzucić wszelkie przywiązania serca.

2. Oczyścić się przez noc zmysłów.

Być zwróconym do Boga, nie mieć nic, dobrowolnie nie zrobić nic ani najmniejszego ze złego pociągu.

Cel rekolekcji – grzech czy niedoskonałość dobrowolna?

Dla złączenia się z Bogiem należy wszystko poświęcić.

Powód naszych oschłości jest to akt naszej woli, który się unosi do spełnienia swoich żądz.

Dla złączenia się przez wolę i miłość z najwyższym Dobrem dusza ma najpierw porzucić wszelką żądzę dobrowolną, choćby najdrobniejszą, to znaczy, że świadomie nie ma przystać na żadną niedoskonałość.

Zanadto mówić i za długo, przywiązanie do osób, do rzeczy, do sposobu życia, ciekawostki etc., jako przeszkody do doskonałości.

* Notatnik rekolekcyjny zawiera wiele myśli wziętych z Pisma Św., z pism św. Jana od Krzyża i z innych autorów ascetycznych.

Co znaczy dla ptaka, że przywiązany na sznurku czy na nitce, dopóki jej nie zerwie, nie uleci. Jaka nitka? Mała satysfakcja, bagatelki. Okręt i ryba remore [!].

Albo się postępuje przez ciągle zwycięstwa nad sobą, albo ustępuje, wystarczy jedna niedoskonałość dla ściągnięcia drugiej.

Zachować serce tylko dla Boga albo pożegnać nadzieję przybycia do celu i kresu.

Jedna dobrowolna niedoskonałość przeszkadza do transformacji duszy w Boga.

Habitualna żądza naśladow[ania] P[ana] Jezusa, rozmyślać Jego żywot, ażeby w każdej okoliczności zachowywać się tak, jak On by to czynił.

Jeżeli się przedstawia coś przyjemnego dla zmysłów, co nie zmierza wprost do czci i chwały Boskiej, zaniechać tego z miłości dla P[ana] Jezusa.

Lekarstwo radykalne, źródło zasług i cnót szczytnych jest umartwienie i uspokojenie czterech namiętności naturalnych: radości, nadziei, obawy i bólu; z ich harmonii i uspokojenia wynikają dobra. Dlatego usiłować pozbawić zmysły wszelkiej satysfakcji, zostawić je jakby w próżni i w ciemności – wtedy będą postępy w cnocie.

Starać się gardzić sobą, a życzyć, żeby inni toż co do mnie czynili.

Mówić na moją niekorzyść i chcieć, aby inni toż czynili.

Dobrze nie mieć darów szczególnych, bo się jest obroń[ym] od pychy. Abnegacja, wyrzeczenie się siebie.

Zjednoczenie z Bogiem jest ważniejsze od wszelkich innych obowiązków, w Nim jest najpewniejszy środek doprowadzenia wszystkiego ku dobremu.

Modlić się, wierzyć nie wątpiąc. Święty Piotr począł tonąć, kiedy począł wątpić.

Delektacja sprawiona przez samo poznanie wystarczy do zmazania duszy i zmysłów.

Tylko dwie rzeczy mogą wywołać rozkosz zmysłową: wrażenie od rzeczy zewnętrznych albo komunikacja wewnętrzna z Bogiem.

Doskonałość cnoty jest sam Bóg.

Chcieć doskonałości Ewangelii jest chcieć Chrystusa Pana, czyli kochać Go z całego serca, duszy i z całej myśli. Wykonać jest to wierność w tej miłości.

Jeżeli poznam, że coś jest doskonalsze – uczynię.

Nie jest miłość doskonała, jeżeli nie jest na tyle dosyć silna i szlachetna, aby oczyściła duszę ze wszystkich uciech obcych i aby nie skupiła wszystkich przyjemności w Bogu samym.

Chciałbym i proszę Miłosierdzia Cierpiącego za moje grzechy, abym dla wywdzięczenia się Panu mógł także cierpieć wszystko, co by Jego Łasce dać mi się podobało. Daj. Daj. Tak mi, Panie Jezu, dopomóż. Pomnóż siłę do kocha-

nia tylko Ciebie i wszystkich ludzi dla Ciebie. Daj, żebym był do Ciebie podobny.

Post. Umartwienie.

Wyjść przez upodobanie (przywiązanie) i wolę ze wszystkiego, co stworzone, tak aby wszystkie stworzenia były, jakoby ich nie było, tak głębokie ma być skupienie, w którym dusza wchodzi do swojego środka.

Trójca Święta ukrywa się w środku duszy.

Nie chcę pociechy ani nieba, pogardzam potępieniem. Chcę cierpieć z Ukochanym, Chrystusem się karmić, On we mnie żyje, nie mogę czynić ani chcieć inaczej niż On. Święty, Święty, Święty.

Grzech powszedni jest złem gorszym niż piekło.

Może nasze zbawienie zależy od małej rzeczy.

Może potępienie zależy od dobrowolnego lenistwa przy wstaniu, od nieuwagi na modlitwie.

Święta Teresa byłaby potępiona, gdyby się nie była poprawiła z naganego przyzwyczajenia...

Raczej umrzeć niż zgrzeszyć powszednio.

Drobne grzechy są karane strasznymi mękami. Lenistwo, obżarstwo.

Czy mierność wystarcza?

Plan życia i tryb. Jednakowe życie z Braćmi we wszystkim, pociąg do poniżeń i umartwień, w tym pomoc do nabożeństwa, za i przeciw.

Skupienie, działać żywo, wspaniałomyślnie i hojnie, ciągle.

Gdyby się w Sodomie te cuda działy, co w tobie... dawno by pokutowała.

Łańcuch łask – łańcuch uczynków – każdej z łask odpowiada stopień chwały, którego cena jest niezmierna. Więcej uwagi przy zabawie niżeli przy modlitwie, więcej przy pracy niżeli przy Mszy i Komunii Świętej.

Staranie usilne, zabiegi dla wykonania czynności zwyczajnych. Warunki: czysta intencja, gorliwość, czas.

Środki: Metoda podług autora. Porządek dzienny, egzamin po każdej czynności. Dokonać każdej czynności, jak gdyby była ostatnią w życiu.

Brak skupienia. Bez skupienia nikt do doskonałości przyjść nie może.

Obecność Boska – sposoby: o ile można zostawać w stacji, zachowywać milczenie, unikać zajęć, które przynoszą roztargnienie, czynić akty miłości i wiary często.

Jaka modlitwa, taka doskonałość, jaka modlitwa, taki dzień cały. Na darmo usiłujemy postąpić przez inne środki, inne praktyki, inną drogą. Modlitwa jest warunkiem nawracania dusz (zdrowie, brak pamięci, pomoc)? Bez modlitwy niepodobna wytrwać w powołaniu.

Cnota polega na znajomości praktycznej Boga i siebie. Wszystkie inne dary i władze są niczym w porównaniu.

Prosić o pozwolenie zupełnego oddania się rzeczom duchownym ze względu na siebie i Braci, i na pokusy, starać się o doskonałość i nic nadto. Czytać, modlić się, uczyć.

Miłość własna i własna wola – przeszkody do dosk[onałości].

Pan dał aniołom niebo i łaskę i Syna nam oddał, dał nam wszystko i Ducha Ś[więte]go, wszyst[ko], co miał.

Akt zrzeczenia się bezwzględnej ofiary bezwzględnej, zdaję się w tym na Pana Jezusa, zdaję się na posłuszeństwo co do wyzyskania tego aktu.

Czy nie można by zrobić ślubu czynienia w każdym zdarzeniu to, co by się zdało lepsze w granicach możliwości. Czy nie lepiej tak niż przepisy szczegółowe, dla skrupułów i dla nieregularności życia i zajęć, dla niepamięci i chorobliwego stanu. (Oszukaństwo możliwe w tym?) Możliwa naprawa w tym?

Niech sprawa mojego udoskonalenia będzie odtąd dla mnie jedyna. Zachować rezolucje powzięte, obiecać sobie comiesięczne małe rekolekcje. Stale uwielbiać Boga w Najśw. Sakramencie. Eucharystii.

Wszystko podane w wątpliwość. Czy odpoczynku dla umysłu, czy pracy ducha, myśli uciekają, czy dłuższego odpoczynku i czytania, czy modlitwy.

Potrzebuję się z Ojcem zjednoczyć, Ojca nie rozumiem, jeżeli się stanę duchowniejszy, zrozumiem. Zgodzić się na jedno na teraz i nadal. Może nas złączy święty Jan od Krzyża.

Pięć ran Pana naszego niech mnie umocni. Ofiaruję się z duszą i z ciałem Najświętszemu Majestatowi Boskiemu do Jego rozporządzenia. Amen. Amen. Amen.

Pan Bóg z miłości wszystko uczynił, nic nie ma nad miłość, z miłości każe się czcić, chwalić i służyć dla ich szczęścia.

Pan Bóg siebie rozmnaża w ludziach. Słońce i kwiaty.

Nie dlatego pragnę zbawienia, żeby być zbawionym, ale żeby się wykonał plan Boski. Szukać zbawienia jako celu.

Więzień przed sądem, któremu darowano.

Król żąda pracy ducha i ofiary. Co dałem? jak walczę? jak się poświęcam, jak pracuję?

Wcielenie – poufałość Boska – szczęście zupełne.

Wyższe chcenie nakłada wyższe prawo postępowania. 1. Doskonałość zależy wyłącznie na próżni i pozbyciu się wszystkich żądz niedoskonałych.

Odrzucić cudzych bogów, czyli przywiązania i afekcje serca. Oczyścić się z kwasu, który zostawiły – przez skruchę. Zmieni odzienie P[an] Bóg. Umysł poweźmie wiedzę o istocie Boga z Niego zaczerpniętą.

Wola dostanie nową miłość, czyli pocnie kochać Boga w Bogu. Siła nadnaturalna – operacja duszy przechodzi z porządku przyrodzonego do nadprzyrodzonego.

Żądza zachowania prawa – Krzyż i Bóg.

Takie ma być wewnątrz Arki (Jaki jest Bóg? Chrystus). Przylegać przez wiarę do esencji Boga. Odciąć nie tylko akta niedoskonałe, ale tendencje zła.

Czym byłem, zanim się urodziłem? Niczym. Skąd wziąłem byt? – Od Boga. Kto utrzymuje mój byt? – P[an] Bóg. Wszystko, czym jestem i co mam, dał i daje mi Bóg. Nic nie jest moją własnością, tylko nicość, jestem niczym sam ze siebie, wszystko inne jest Boga własnością. Mam Mu wszystko oddawać i siebie samego. Po tom stworzony, żeby chwalić, czcić i służyć Bogu, a nie potrzebuje Bóg tego dla Siebie, ale dla mnie, żebym zbawił duszę, bo chce Pan Bóg, żebym zbawił duszę. Wszystko inne, stworzone dla człowieka i na to, żeby mu pomagało do celu, dla którego stworzony jest. Mamy zatem być obojętni co do wyboru środków do naszego celu i we wszystkich rzeczach to wybierać, co nam lepiej służy do celu.

Pan Jezus jako człowiek oddał Bogu Ojcu chwałę najwyższą, cześć najgłębszą i służbę zupełną, jakie tylko Bóg jest godzien. Wstąpił do nieba i zasiadł na prawicy Bożej, i zapewnił dokonywanie tego celu aż do skończenia czasów. Chrześcijanie prawdziwi (chrześcijanin drugi Chrystus) zastępują Go w Nim i oddają Bogu chwałę, cześć i służbę zupełną, i powracają do swego początku, czyli do Boga, a to przez Chrystusa Pana i w Nim. („Jam jest droga i prawda, i żywot, nikt nie przychodzi do Ojca tylko przeze mnie”). Chrystus nie tylko w niebie żyje, ale i między nami w Najśw. Sakramencie i w duszach prawdziwych chrześcijan.

Własne grzechy – Miłosierdzie Boskie, że żyję.

Dwie chorągwie – broń Lucypera – pożądliwość bogactw, cześć światowa i p y c h a, a z tej wszystko zło inne. Broń Chrystusowa – ubóstwo, pragnienie zelżywości i pogardy. Pokora.

Pan Jezus, ustanawiając Najśw. Eucharystię, oddał nam swoje Ciało i Krew, czyli *anticipative* przyjął całą Mękę, w której Ciało zostało zniszczone i Krew wylana, ale już zostały żywe w Najśw. Eucharystii na pożywienie dla nas. Czy Panu Jezusowi cierpiącemu mękę i za mnie ukrzyżowanemu mogę czego odmówić? Czy mogę odmówić męki dla niego i krzyża, gdybym je z łaski i Woli najświętszej miał cierpieć i mógł? Czybym chciał cierpieć? Gdyby w tym była jaka chwała Boska? W tej i każdej rzeczy: „Bądź wola Twoja. Czy dla wywdzięczenia się Panu Jezusowi za Mękę i śmierć dla mnie mógłbym czego odmówić, o czym bym pewno wiedział, że chce tego? Czy dla wywdzięczenia się za Ciało i Krew, które pożywam, mógłbym czego odmówić P[anu] Jezusowi w Eucharystii? A co dzień drobnostek odmawiasz, nędzny. Chcieć przy mnie jest, wykonać nie znajduję, któż mnie w nędzy wspomóż? Matka Najświętsza – Sam Pan Jezus – Ojciec.

Gdybym drobnym nie odmawiał, byłbym wierny w większych. Matko, wspomóż.

Kto nie niesie Krzyża i nie idzie za mną, nie może być uczniem moim.

Krzyż jest tajemnicą, wymaga wiary. Krzyż jest światłem, które oświeca umysł, szczęśliwy, kto mu odda serce i dostanie łaskę miłowania.

Uczestnictwo w męce.

Byliśmy odkupieni krwią, czy możemy się zbawić, nie cierpiąc. Miałem podporę w tym i tym – umarł.

Oddaję Panu Jezusowi moją duszę, rozum, serce i wszystko, co mam. Ofiaruję się na wszystkie wątpliwości, oschłości wewnętrzne, udręczenia i męki duchowne, na wszystkie upokorzenia i wzgardy, na wszystkie bóle ciała i choroby, a za to nic nie chcę ani teraz, ani po śmierci, ponieważ tak czynię z miłości dla samego Pana Jezusa.

FOF

Jakże pożyteczny jest każdy Chrystusa Pana żołnierz, jeżeli rzeczywiście tarczę pokuty i miecz miłosierdzia trzyma w dłoni, jak wtedy jest straszny negacji przez walkę, w której idąc za wodzem, zwycięża zawsze i niechybnie. I jeżeli takich wojsko jest uszykowane, jeżeli stanowi wielki legion, jakże wtedy silne może być jego działanie.

OTZ

Zwyciężać w szlachetnej walce ducha jest to zdobywać królestwa i trony dla siebie i drugich na całą wieczność. Za łaską od Boga daną uwalniać rozum spod przemocy instynktów niskich i poziomych, a rozum wolny poddać miłości, czyli Bogu, to jest najszczytniejsze zadanie ludzi i całych narodów; to znaczy budować królestwo niebieskie w nas samych, wszystko inne jest nam wtedy przydane.

OTZ

Wszystkie dzieła prawdziwe wielkie i święte mają tę właściwość, że dają się prostymi środkami traktować.

OTZ

Nawracać dusze ludzkie do Boga jest najpewniej święte działanie, ale ubezpieczyć i utrwalić owoce tego nawrócenia jest działanie tyleż święte, a z pewnością o wiele trudniejsze.

OTZ

Z ojcowską ku nam grzeszynom miłością zsyła Pan Bóg kary, aby nas do upamiętania przyprowadził, do pokuty przynaglił, ale nie może nas do pokuty przymusić, bo nam dał wolną wolę.

OTZ

Jedynego Syna nam nie pożalował i oddał go na mękę, żeby nas za synów pozyskać; cóż może nad to uczynić cała nieskończoność Jego miłosierdzia? – chybaby miał przestać być sprawiedliwym, nie karać grzesznych; nie byłby wtedy dobrym Ojcem ani Bogiem by nie był.

OTZ

Czego więc żąda od złych dzieci ojcowskie serce Boga? Tylko tego, żeby złymi być przestały; tylko synowskiego żalu za grzechy i chęci poprawy, tego jednego aktu prawej pokuty, który niszczy winę i karę uchyla. Czy to za wiele w zamian za Mękę i Krew odkupienia naszego Zbawiciela za nas konającego na krzyżu?

OTZ

Listy do Dynki

Bernardyna jest Panu Jezusowi zupełnie oddana, i z Nim zjednoczona, i od Niego bardzo kochana, i tak ma wierzyć, bo tak jest.

Przeciwnie wrażenia uczuciowe, nerwowe albo z obraźni stanowią krzyż i mękę, która duszę oczyszcza.

Ale gdyby i diabeł żywcem ją do piekła wtrącił, ma wierzyć, że jest cała Pana Jezusowa, bo taka jest prawda.

Ślubem jest Panu Jezusowi związana i na świat iść nie może. Podpisała się z miłości bezinteresownej ku Panu Jezusowi, na wszystkie męki i udręczenia duchowne, więc teraz na nią przychodzi. Niech cierpi, kiedy sobie wybrała Oblubieńca Ukrzyżowanego, raczej niech umrze, niżeliby miała się stać niewierną swojej Miłości.

Kiedy jest trochę spokojna i niezamieszana przed Bogiem, i w szczerości serca, wie bardzo dobrze, że tak jest, jak ja mówię i nie inaczej.

Trzeba poczekać, żeby „burza minęła, deszcz ustal i przeszedł” – a Pan Jezus powie „jedno słówko”, które nagrodzi wszystkie cierpienia, wtedy zakwitną kwiatki. Pozdrawiam biedne dziecko.

Gdziekolwiek można by się spowiadać pod warunkiem, żeby nie mówić, tylko to, co w sumieniu się przedstawia jako niewątpliwie dobrowolne, bo inaczej będą kłopoty i nieporozumienia.

Prawda jest, że dusza cierpi, ale bo jest i ma być ukrzyżowana na tej ziemi, jak był jej Ukochany dla niej.

Najmilsza Siostrzo Bernardyno, brat Starszy prosi, żeby mu wierzyć, że Siostra nie ma dobrowolnych grzechów wcale, że skrupuły są chorobliwe albo od diabła i prowadzą do zamieszania i niedoskonałości, są przeciwnie duszy i służbie Bożej. Sam Pan Jezus prosi i chce, żeby dla Jego Najświętszej Miłości się uspokajać i utulać, i jeżeli przychodzi co cierpieć, to cichuchno cierpieć.

Zdaje mi się, że można trochę nosić włosiennicę, a i dyscypliny też trochę, jednak trzeba uważać, czy to albo tamto nie zanadto działa na nerwy, a kiedy się troszkę spróbuje i ustali wiele i kiedy tego i tamtego, trzeba się Ojcu spowiednikowi opowiedzieć, ale na modlitwę trzeba czas naznaczyć i nigdy nie uchybiać ani skracać i ani chwilki nie odwłóczyć, chybaby coś przeszkodziło ważniejszego, w takim razie tę sprawę ofiarować trzeba Panu Jezusowi zamiast modlitwy i przejść do innych zajęć albo się do naznaczonego czasu pomodlić, jeżeli sprawa prędko się załatwiła, ale jeżeli czas naznaczony minął, to już nie zaczynać.

Ale o swojej godzinie trzeba iść spać i wtedy już nie wolno, a wynagradzać to trzeba zawsze i każdej chwilki, wiele tylko niedoskonałość pozwoli, bo wszystko, co robi Bernardyna, jest dla Pana Jezusa, i Bernardyna dla Pana Jezusa, nic dla Bernardyny ani dla [ni]czego, ani dla [ni]kogo.

Ten krzyżyk, który Siostra cierpi, nazywa się noc duchowna, po której przychodzi świt i słońce, dusza się nudzi, bo chce zobaczyć Ukochanego i z Nim się połączyć (a nie może to nastąpić, dopóki ją Pan Jezus w Siebie nie przemieni), a nic mniejszego jej nie wystarczy, więc schnie biedactwo głodne Miłości.

Czy akta zwracania się do Boga by co pomogły, bardzo wątpię, bo ten stan jest bierny. Pewna rzecz, że w tym stanie dusza jest odwrócona od stworzeń, zatem jest zwrócona do Boga, choć o tym nie wie. Ale do czegoż innego może być zwrócona.

Dla miłości Pana Jezusa, któremu Dynka jest oddana na całą wieczność, prosi Tatko, żeby była spokojniusia, bo Pan Jezus, Dynki Najświętszy Oblubieniec, jest spokojniusi.

Niech Bernardyna nie przemyśliwa, bo to do niczego nie służy i nic nie wymyśli.

Niech się nie troszczy, bo to jest niedoskonałość i pokusa troszczyć się.

Nie pierwszy raz są trudności ze spowiedzią i pewno nie ostatni.

Niech się Dynka modli i ma nadzieję, że Pan Jezus wszystkiemu zaradzi sposobem, który Jemu jest wiadomy. Proszę też żadnych kroków czy układów z księdzem nie robić chwilowo.

Dynka ma być spokojna. Opiece Boskiej was polecam.

Bratu Starszemu przykro, że najnędnniejsze diablisko byle co szepnie do ucha i to wystarczy, żeby się chcieć za diabła spowiadać, sama się mieszać, księży kłopotać i od Komunii się odstraszać, zamiast polecieć co prędzej jak ptaszek do Serca Pana Jezusowego się przytulić. Dynka to wszystko wie z dawna. Niech Matka Boska wspomóż dziecko, żeby tak nie robiło nierozsądnie.

To jest takie naturalne usposobienie, które się trafia u osób tkliwych i delikatnych, z którego nie ma sobie co wiele robić.

A to przywiązanie to jest, to go nie ma, więc naprawdę to nie wiadomo, czy jest i jakie. Na każdy sposób przecie nie grzech.

Wszystkie udręczenia z tego wynikające to pokusa i kara za to, że Dynka nie chce się umartwić i za dużo dziecinni. Powinna się upokorzyć i postanowić, że będzie poważniejsza, rozweselić się i uspokoić.

Pan Jezus wszystko na lepsze potrafi obrócić. Ani się nic takiego nie stało, Dynka powinna być spokojna, chodzić do Pana Jezusa, jak obiecała.

Niepotrzebnie wydusiła na mnie te rzeczy w nie swoim czasie. I teraz myśli robią niepokój. Trzeba być spokojną i zdać wszystko na Pana Jezusa i na Tatusia. Nic się nie zdarza bez woli Boskiej.

Niech Pan Jezus Dynkę błogosławi.

O jedno proszę dla miłości Pana Jezusa Dzieciątka, żeby Komunii Świętej nie opuszczać i dla miłości świętych Anio-

łów, którzy się smućą, kiedy Dynka opuszcza Komunię Świętą, źródło siły i życia.

Diabeł kolebusią targa – Dynka wrzeszczy – koziołki przewraca – byłoby buś – ale Anioł Stróż pilnuje.

Pan Jezus siedzi na straszliwym majestacie otoczony błyskawicami, w jednym ręku ma wagę aptekarską, w drugim pioruny, pod stopami tronu piekło otwiera i zamyka paszczę, a to wszystko na Dynkę, biednego robaczka, małą mrówkę, pracowite stworzonko, co dla Pana Jezusa żdziebelka dźwiga do mrowiska.

Niechby się ten diabeł z Dynki grzechów przed swoim Lucyperem spowiadał, albo i Dynka, ale przed Tatusiem chyba, albo przed panem Sawickim, zamiast rozgrzeszenia dałby trochę bromu albo żelaza, albo kazał iść się dobrze wyspać.

A spowiedzi były i są dobre i szczerze, aż za dużo chyba dobre, bo takie wszystkie poruszenia umysłu od woli niezależne i tym podobne przypadłości nie należą do spowiedzi ani nie ma sposobu tego wszystkiego wygadać.

Pan Jezus kocha Dynkę, grzechy dawno darował, darował i zapomniał, jakżeby kochał, gdyby nie darował?

Pan Jezus dla Dynki chce być taki dobrusi jak matka, co karmić chce dziecko słodkim mleczkiem, jak najbliższy przyjaciel zawsze wierny, jak ojciec i opiekun, który o najmniejszej potrzebie dziecka pamięta, jak małżonek, który chce utulić i upieścić, jak niewinne dzieciątko, co rączki wyciąga i oddaje się na łaskę i niełaskę, byle go wziąć, i tylko taki chce być Pan Jezus dla Dynki.

Ale nie trzeba przyduszać tej roślinki, o której wczoraj napisałem, bo to niebieska roślinka, którą Pan Jezus swoją ręką zasadził. Trzeba ją patyczkami ogrodzić, niech rośnie i kwitnie, żeby miała dużo słodkich jabłuszek dla Świętego Dzieciątka.

Stan ciemności duchownej, pokusy od diabła, diabelskie napaści i ledwie że nie podobieństwo opętania, taki wpływ od diabła. Nie ma żadnej wariacji, trochę, ale niedużo choroby czy osłabienia, przy tym własne fałszywe myśli i wywoły. Trzeba Tatкови wierzyć, trzeba się choć po małym troszku modlić, trzeba krzyż dźwigać. Dynka się na to wszystko Panu Jezusowi oddała jako prawdziwa zakonnica, choć smarkaty dzieciuch.

Te pokusy o powołaniu są niedorzeczne, bo gdyby była została na świecie przez ten czas, co jest w zakonie, to już by dawno było co innego, a gdyby była poszła do innego zakonu, to by ją dawno wyrzucili za skrupuły i niepokoje i byłaby też poszła na świat. Teraz jest w prawdziwym powołaniu, bo siostrami rządzi dla Pana Jezusa, który jej łaskę daje widocznie – i jest w prawdziwym powołaniu, jeżeli dla Pana Jezusa cierpi choćby najwstrętniejszy krzyż i własną nędzę, niech się stara chcieć wszystkiego, co Pan dopuści.

Trzeba się spowiadać w sobotę, jak się uda. Trzeba nie opuścić Komunii Świętej. Pan Jezus zna utworzenie nasze i wie wszystkie słabości (...) nasze, a chce się z nami łączyć,

żeby był naszą mocą i ochłodą. „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a Ja was ochłodzę”.

Tatuś się nie zasmuca i jest spokojny, jak Dynka prosi. A czemu Dynka z diabłami wdaje się w rozmowy? – diabły oszukańcy, a czemu Tatкови nie wierzy smarkactwo, kiedy obiecało? – A czemu Panu Jezusowi nie ufa, jak tylko choć troszkę Pan Jezus się ukryje. Czy mało łask dostała, jeszcze mało? Czemu niewierny Tomasz? A czemu, bo Tatka nie słucha, a u ojca Gadowskiego pokus wyszukuje.

Ale Tatko myśli, że już pewno przeszły zawieruchy i nie wini biednej Dynki, bo tak bywa osobom duchownym, i jest spokojny, bo wierzy, że kogo Pan Jezus sobie wybrał, temu i sto piekieł nie zaszkodzi. Miłość mocna jest jak śmierć. Dynka słabeńka, ale w Panu Jezusie bardzo mocna. Tatko się modli za Dynkę, niech ją Pan Bóg błogosławi.

A Dynka dziecko? Jeżeli się kiedy zdaje, że Pan Bóg w duszy nie działa, to samej trzeba działać bez wysiłku, jak tam można choć biedniutko, tak trzeba dla bezpieczeństwa i dla spokoju własnego, i dla wierności w służbie Bożej.

Ale kiedy jest Pan Bóg obecny, dusza o tym nie wątpi, bo ma wrażenie czy uczucie, silniejsze albo słabsze, obecności Boskiej – do żadnego innego wrażenia niepodobne, jest to dotknięcie duchowne zupełnie podobne, jakie by miał człowiek, gdyby był w ciemności z przyjacielem i trzymał go za rękę albo siedział bliźniutko. Wątpliwości, jeżeli przychodzą, to aż wtedy kiedy stan mistyczny przejdzie albo przechodzi.

Cóż kiedy to przerywane bywa mękami, pokusami, ciemnościami, istny czyściciel albo pomieszane – czasem rozum słabnie i wola, pamięć zamiera, imaginacja szaleje, zmysły się buntują, niepokoją, unudzenia, postrachy *etc.*? Tego dobrego mało, a tego złego tak dużo?

O to wszystko mniejsza – jedynie najważniejsze jest to, że nasionko wsiane ma urosnąć w duże drzewo. Jeżeli Pan Jezus mówi A, to chce, żeby powiedzieć B, C i do samego końca cały alfabet, a Dynka ma powtarzać. A jaki koniec?

Koniec jest święta miłość i święte zjednoczenie, w którym Pan Bóg oddaje wszystko swoje i Siebie, a dusza tak samo. Ale Dynka sama wie, jaki koniec. Trzeba Dynce wysoko latać ponad błota i przepaście, i równiny, i góry, i chmury, i burze i cierpieć też.

A Dynkę kocha Pan Jezus i daje jej łaski, więc szatani zazdroszczą i wydziwiają co mogą, żeby dziecku dokuczyć. A o każdej rzeczy duchownej, co w listach napisane, Dynka wie, co ja rozumiem, byle wierzyła i była spokojniutka i Komunii Świętej nie opuszczała i o nic się nie troszczyła. Pan Jezus niech dziecku błogosławi, a święci Aniołowie niech strzegą, a Matka Boska niech we wszystkim dopomaga, proszę się za mnie pomodlić.

Dynka jest oblubienica Ukrzyżowanego Pana Jezusa, więc musi cierpieć na duszy i na ciele, musi Ukochanemu pomagać krzyż nosić, takie jest prawo Miłości.

Dynce Pan Jezus dał dobrą wolę, a to jest najdroższe, co można Panu Bogu ofiarować, dlatego że dobra wola jest wolą

Boską. „Nie jako ja chcę, ale jako Ty”. „Pan mną rządzi, a na niczym mi schodzić nie będzie”. „Żyję, ale nie ja żyję, żyje we mnie Chrystus”. „Wola Boska jest świętobliwość wasza”. Dobra wola i wola Boska jest to samo. Gdyby Dynka wierzyła Tatкови, że ma dobrą wolę z łaski Pana Jezusa, to by rozumiała, że jest z Nim prawdziwie zjednoczona i jednomyślna, może by była wtedy spokojna, choćby przyszło jeszcze więcej cierpieć na powierzchni duszy.

Ale wewnątrz co nas oderwie od miłości Chrystusowej? I co jest takie od Boga mocniejsze, żeby nas miało Bogu oderwać i odebrać?

Od ojca Gadowskiego proszę wziąć raz na zawsze pozwolenie, żeby Dynecze wolno było komunikować, kiedy może, choćby co dzień, trzeba mu jasno powiedzieć, że jak się którego dnia Komunię opuści, to na drugi dzień pójść trudno, a potem coraz trudniej, w końcu się zupełnie urywa, a Dyneczkę Pan Jezus bardzo kocha i doskonale wie, na co ma Dynka chorować i co ma boleć, i kiedy, o której minucie ma dziecko umrzeć i przytulić się do Pana Jezusa na zawsze.

Niech Dynusia cierpi, niech będzie spokojniutka, niech się modli i niech się Panem Jezusem żywi, żeby na całą wieczność teraz i zawsze żyła w Panu Jezusie, a Pan Jezus żył w Dynce, dobrym dziecku.

Na napaści i złe wpływy nadprzyrodzone pomagają tylko środki nadprzyrodzone, to jest Komunia Święta i modlitwa, czy skupienie nadprzyrodzone, które Pan Jezus daje Siostrze, kiedy się uspokaja.

Proszę trochę wierzyć Bratu Starszemu, dla miłości Pana Jezusa proszę wierzyć, że Dynka nie ma grzechów, ale uczucia grzechów czyli skrupuły uczuciowe, można i trzeba komunikować ze świętą śmiałością do Pana Jezusa. A jeżeli w rozumie formują się wątpliwości, to je na swoją korzyść tłumaczyć, wierząc Bratu Starszemu.

Wyrzucić za drzwi człowieka, który sam wyjść nie chce, nie jest żaden grzech, bo i cóż zrobić?

Ten jest dobry, kto chce być dobry. Diabeł jest zły i napastruje biedne dziecko, i robi rozmaite sztuki, trzeba nim gardzić. Mówi Pan Jezus: „Zwycięzcy dam wieniec”. Pewno Pan Jezus ma ładne kwiatki dla Dynki i złote ptaszki, a diabeł wie o tym i się wścieka. Dynka jest Pana Jezusowe dziecko, a takiemu wszystko dopomaga ku dobremu. Proszę być spokojniutka, swoje męki i krzyż Panu Jezusowi ofiarować jako zadosyćczynienie za swoje grzechy. Pan Jezus też cierpiał w Ogrojcu za nasze grzechy.

Dużom się modlił za Dyneczkę do Dzieciątka Jezus. Ono wszystkiemu zaradzi, wszystko osłodzi, wszystkiemu zaradzi ani Dyneczki, ani nas, ani Siostrzyczek, ani ubogich nigdy nie opuści.

Pan Jezus chce, żeby Dynka była spokojna, dla Pana Jezusa trzeba to robić, żeby się wszelkimi sposobami uspokajać. A wszystkie sprawy zdawać na Opatrzność Boską, która obmyśla i najdrobniejsze szczegóły. Żeby się nie troszczyć i mieć zasługę z wiary, żeby nie mieć przeszkody do modli-

tyw z zajęć dla chwały Boskiej podjętych i dla miłości bliźnich.

Niech Dynka bezpiecznie idzie do Pana Jezusa, bo przez to się więcej Panu Jezusowi spodoba, a niech Mu obieca, że będzie dobrusia, a tym niepewnym uczuciom niespokojnym nie trzeba wierzyć.

To jest głupi diabeł, proszę powiedzieć święte słowo. Proszę być spokojniutka, Pan Jezus kocha Dynkę. Pan Jezus błogosławi.

Kto cierpi pokusę i napaści, ma zasługę przed Bogiem.

Łaska i pokój Pana Jezusowy niech będzie na zawsze w sercu Dyneczki, która niech się Panu Jezusowi nie broni, ale niech będzie grzeczne dziecko i nie opuszcza Komunii Świętej. Opiece Boskiej polecam Dynkę z dziećmi.

Pan Bóg jest dobroć, nikomu serca nie zatruwa.

Żadnych niepokojów nie chce Pan Bóg, ani o własną doskonałość też nie, bo w końcu: „jeśli chcesz coś dobrego, a nie możesz, Bóg jak uczynek to nagradza”, tę chęć. Ale powie Dynka „ja nie chcę” – a Tatko mówi to nieprawda i o. Lewandowski tak samo powie, i wtedy trzeba drugim uwierzyć i biedną duszyczkę ukołysać, żeby spała na łonie Opatrzności Boskiej, a jak się obudzi, niech pomalutku bez wysiłku robi, co jej się dobre być zdaje.

Proszę Dyneczki, żeby jakkolwiek się uda ze spowiedzią, była spokojniutka i miała zupełną ufność w opiekę Boską, który wszystkim zarządza i Dynki pilnuje jak żrenicy swojego oka; gdyby nie to, już by byli szatani dawno ją rozszarpali.

Pozdrawiam Dynkę i proszę, żeby była bezpieczna jak dziecko na łonie matki i żeby gardziła niepokojami, które szatan wznieca.

Nie myślałem, żeby Dynka do takiego stopnia była nieroztropna. Nie ma na świecie doktora, który by takiej bezkrwistej osobie pozwolił pościć, ani takiego księdza. Proszę zaraz jeść mleko, mięso i jaja i pigułki zażywać (...).

Wszyscy przełożeni mają uważać, kto potrzebuje dyspensy. Kościół nie chce, żeby chorzy pościli i w osłabieniu wpadali i w większą chorobę... A można księdzu spowiednikowi kiedykolwiek się z tym opowiedzieć (to jest przełożona ma się opowiedzieć, bo ona lepiej wie, kto pościć nie może), jeżeli kto taki skrupulatny. A Dynka ma jeść, ja za to będę przed Bogiem odpowiadał. Szczególniej serce cierpi z powodu bezkrwistości, a stąd znowu rozmaite przypadłości niedobre, osłabienie i niedołożność, i nerwy, etc...

A o duszę Dynki i ja, i ojciec jesteśmy bardzo spokojni, bo ta dusza kocha Pana Jezusa, który ją kocha tysiąc tysięcy razy więcej i nigdy jej nie odstępował jako oblubienicy, którą sobie wybrał na własność i na kochanie swoje przez całą wieczność. Ale żeby Dynka prędko świętą została, wolno jest diabłu robić te wszystkie okropieństwa, o których Dynka napisała, ale to wszystko się dzieje naokoło duszy ale nie w duszy, bo tam żyje Pan Jezus, z którym na całą wieczność jest Dynka przez wolę i miłość zjednoczona, bo chce tylko

tę, co Pan Jezus, i kocha tylko Pana Jezusa. Choć przy tym wydaje się nie wiedzieć czego i diabeł żywcem duszę do piekła pakuje, ale Dynka ma za to zasługę, a diabeł większą mękę i Pana Jezusowemu dziecku nie może krzywdy zrobić, choćby go zjadł żywcem, gdyby mógł. „Góry około niego, a Pan około ludu swego”.

Może Dynka tego nie widzi, ale ja i ojciec bardzo dobrze [wiemy], że dusza Dynki jak dziecko jest utulona na łonie Pana Jezusowym, a z Jego rąk nikt jej nie odbierze. Co prawda, mogłoby to maleństwo być grzeczniejsze i siedzieć albo tam spać spokojniusio, tymczasem wrzeszczy, kręci się jak piskorz, nóżkami kopie i rączkami drapie.

Jak czego brakuje, to prosić i polecić Panu Jezusowi i być najpewniejsza, że On wszystkim zaradzi.

Dynka miłutki list napisała, Pan Jezus ją wspomaga. Niech Jej i wszystkim siostrzyczkom błogosławi, jestem o wszystkie i o wszystko spokojny i bezpieczny, bo Serce Jezusa się swoimi dziećmi opiekuje.

A zniechęcać się, Dynka wie dobrze, nie wolno. Pan Jezus w sercu Dynki mieszka i jest żywy, dopuszcza udęczenia, ale zniechęcać się to znaczy Panu Jezusowi nie ufać i zrobić Mu przykrość.

Pozdrawiam dziecko i opiekę Boskiej polecam, proszę się uspokajać, Pan Jezus taki dobrusi dla każdego, a cóż dopiero dla takich Dynek, które całkiem z duszą i ciałem chcą Mu się oddać i tyle razy oddały ze szczerego serca i woli. Także Magdusię przełożoną i małe dyneczki pozdrawiam i opiekę Boskiej polecam.

Proszę Dyny, żeby była spokojna i wszystko swoje i Zgromadzenia Opatrzności bez żadnego wahania polecała, wszystko duże i małe.

A te głupie myśli, zniechęcenia i wątpliwości trzeba uważać za śmiecie, bo przecież nie my rządymy Zgromadzeniem, tylko Pan Bóg i dobrze jest, jak Pan Bóg daje, a już do Tatusia zniechęcenie za to, że chorej Dynce załatwia co może, to już przecie śmieszna rzecz, chociaż zwyczajna, ja to już dawno znam i nie myślę się tym martwić.

Takich myśli, które się nie wiadomo jak głupio zakradną, nie trzeba za swoje uważać, choć się myśli. Przed grzechem choćby małym czy jakim jest chwila rozmysłu, a już co się śni, to nie ma dla sumienia znaczenia, ale jak co Dynkę tknie, to już bieda, trzeba się upokorzyć, że takie głupiątko.

Nie wiadomo, jak Pan Bóg da dalej z adoracją, ale trzeba bardzo pomału i ostrożnie w to wchodzić i nie dopuścić, żeby miało powstać zamieszanie albo z wysiłku zniechęcenie i zwątpienie.

Proszę być spokojną i nie tak naglić z tą sprawą, ale Panu Bogu to polecić. Ale do doktora iść zaraz, jeśli nie do tego, to do innego, ale iść zaraz.

Z takich nedorzecznych myśli Dynka nie powinna sobie nic robić, bo to nie ma żadnego ani najmniejszego znaczenia. Niech będzie rozsądna i niech się leczy jak może (...).

Z pierwszego listu się ucieszyłem, że dziecko gospodarne

i roztropne, a teraz żałuję Dynki, że chora i biedna, ale to Pan Jezus daje krzyżyk, trzeba przyjąć i podziękować za to i za wszystko, co na dziecko przychodzi, bo to wszystko jest z miłości Pana Jezusa dla Dynki. Mało [Mu] na tym zależy, co człowiek czuje, ale na tym zależy, jaki kto jest, a Dynka ma dobrą wolę i kocha Pana Jezusa, a to Pan Jezus jej daje, niech będzie błogosławiony na wieki za wszystko, za wszystko.

Opiece Boskiej Dynkę polecam, proszę się uspokajać, bo nic nie brakuje duchownie, same wrażenia na nerwy i na imaginację.

Dynka trochę chora, powinna być u doktora, ale nie ma się czego bać ani troszkę, tylko ten nudny krzyżyk przyjąć jak i wszystko, co Pan Jezus daje. I Siebie samego chce Pan Jezus dać Dynusi, niech Dynka idzie, jeżeli tylko zdrowie pozwoli, bo może katar z przeziębienia albo influenza.

A na te wszystkie duchowne wrażenia sprzeczne i przykre nie trzeba nic zważać, boby się diabeł cieszył, gdyby mógł Dynkę zasmucić i zamieszać.

Dynka nie ma żadnego rozsądnego powodu do niepokoju, powinna być bezpieczna na łonie Miłości Pana Jezusowej, grzecznie siedzieć w łódce na ławeczce, choćby burza była najszaleńsza, a Pan Jezus spał. Opiece Boskiej polecam Dziecko.

Z pewnością Pan Jezus chce doskonałości od Dynki, ale kiedy Dzieciątko Jezus przychodzi do serca jak do kolebusi, żeby nią nie targać, niech śpi albo spokojniutko sobie leży śliczniutkie. Ono tyle już dało Dynce, a chce dać wszystko, zniechęcać się nigdy nie trzeba, po burzy bywa spokój, po zimie zielona wiosna.

Niech Pan Jezus Dzieciątko małą rączką Dynce pobłogosławi.

Obiecała Tatkowi Dynka, że już będzie dobra. Tatko poszedł, bo nie można po dzwonku na pacierze jeszcze rozmawiać, tylko dlatego poszedł. Na Tatka nie trzeba się obrażać, bo jest dla Dynki dobry, wiele tylko może i potrafi. Jeżeli Dynka jutro opuści Komunię Świętą, to zasmuci Pana Jezusa, a dogodzi temu Czarnemu, który dyktuje skrupuły, obrażania i zniechęcenia, byle odpędzić od Pana Jezusa, który jest Dynki kochanie, obrona i życie. Niepokój Dynki jest od szatana. Tatko będzie się modlił do Matki Boskiej, żeby dziecko broniła i otoczyła swoją opieką.

Niech Dynkę Pan Jezus błogosławi.

Te wszystkie złości i ciemności pochodzą z choroby, a trochę od Czarnego. Dyneczka, biedne dziecko, musi nosić krzyżyk, musi cierpieć. Tatko nie przyszedł, bo był cały czas zajęty, przy tym Dynka w łóżku chora, niedobrze rozmawiać.

Ta bojaźń śmierci jest głupstwo od Czarnego i dzieciństwo. Dyneczka nie umrze, ale ani śmierci nie potrzebuje się bać, a jeżeli umartwi w sobie tę chęć spowiadania i te przypomnienia grzechów, to się spodoba za to Panu Jezusowi i będzie miała zasługę.

Dyneczka biedniusia, dobre dziecko, Szatanisko głupie, szkaradne. Pan Jezus kocha Dynkę, dopuszcza ciemności,

choroby, pokusy, niech będzie pochwalony. Dziecko pójdzie jutro do spowiedzi i do Pana Jezusa, będzie pocieszone.

Proszę się uspokajać i wszystko pomyślnie i przeciwne na Opatrzność Boską zdawać, Panu Jezusowi wszystko, wszystko i wewnętrzne, i zewnętrzne polecić i być spokojną.

Proszę Dyneczki, żeby była spokojna, żeby wszystko Opatrzności Boskiej polecała. Pan Jezus kocha swoje dziecko i doświadcza krzyżykiem, żeby się stało rozsądne i zakonne.

Wszystko dla Pana Jezusa, dla nas nic.

Dr Janiszewski, mówi, że to jest dłuższa choroba – kilka tygodni. Niech więc Siostra Starsza za łaską Bożą zdobywa się na cierpliwość z miłości dla Pana Jezusa cierpiącego i niech sobie przypomina, że ojcowska Opatrzność Boża bezpośrednio rządzi naszym życiem w zdrowiu i w chorobie, i w najdrobniejszych szczegółach, ażeby wszystko złe na dobre obrócić, więc wszystko chętnie trzeba przyjmować, miłe i przykre, i starać się spać spokojnie na macierzyńskim łonie, choć to trudno dla ułomności naszej, kiedy bardzo boli i nudzi.

Modlić się i mieć pewną nadzieję, że Pan Bóg wszystkiemu zaradzi. A Ojciec i Tatusz będą się też starali zrobić co można z Boską pomocą.

Tatko wcale się nie gniewa na biedną Dynkę, tylko owszem, żałuje dziecka, że cierpi. Ale ten krzyż Pan Jezus daje, bo kocha Dynkę; krzyż zewnętrzny i duchowny. Dynka jest chora i na chorą Dynkę przychodzą oczyszczenia i duchowne noce, czyli ciemności, które sprawiają mękę. Jak Pan Jezus zechce, to to przejdzie i Dynka będzie dobra.

Niech Pan Bóg będzie za wszystko, co daje albo dopuszcza, pochwalony.

Proszę być spokojną, a wszystkie trudności i kłopoty swoje własne i zakonne, śmiało i zupełnie, i najbezpieczniej na Świętą Opatrzność Pana Jezusową zdawać, żeby nic Dynce nie mogło przeszkodzić do zjednoczenia z Panem Jezusem.

Czarny zaciemnia sumienie, a Pan Jezus rozjaśnia. Dynka powinna być spokojna, to by ucieszyła Pana Jezusa i Tatka.

Opiece Boskiej polecam dziecko.

Proszę być rozsądną i spokojną, bo o chwałę Pana Jezusa idzie i o to, żeby nie miał od nas krzywdy.

Komunii Świętej nie opuszczać.

Modlitwy nie opuszczać.

Wątpliwości na swoją korzyść tłumaczyć.

Nie wolno się zniechęcać.

Do spowiedzi.

Wątpliwości na swoją korzyść tłumaczyć.

Do Komunii chodzić.

Do modl[itwy].

Przed modl[itwą] siebie porzucić i wszystko stworzone.

Uspokajać się,

być posłuszną,

postanowić robić zawsze to, co się doskonalsze wydaje.

Komunii ani modlitwy nie wolno opuszczać.
Dla troszkę kąkolu nie wolno wyrzucać pszenicy.
Nie wolno o grzechach myśleć albo że nie odpuszczone.
Bardzo szczerogółowo ani długo się nie spowiadać.

Niech Dynka Bozi nie opuszcza. Niech ją Pan Jezus uspokoi i błogosławi.

Dynka ma niewinną duszyczkę, niech się niczym nie wiąże.

Posłuszeństwo jest [to] akt wiary i miłości, sposób zjednoczenia z Bogiem, najpewniejsza obrona od szatana i miłości własnej.

Mam być posłuszna.

1 ° Medytacji co dzień pół choć godziny.

Co dzień poczytać Ś[wię]tą Teresę – dwanaście pacierzy.

O ile można, „bez wysiłku” zastosowywać się do Sióstr. Starać się wcześniej zasypiać.

Spać, kiedy się zechce.

Jeść mięso trzy razy na dzień.

O grzechach dawnych wcale nie myśleć.

Wątpliwości tylko na swoją korzyść tłumaczyć.

Spowiednika nie oszukiwać i nie straszyć.

Przez posłuszeństwo oddajemy prawdziwie swoją duszę Panu Bogu, który nami rządzi jako swoją własnością we wszystkich rzeczach największych i najmniejszych.

Dla miłości Pana Jezusa i z posłuszeństwa dla Niego wątpliwości na swoją korzyść tłumaczyć.

Za wszystko, nawet za najcięższe utrapienia, dziękować.

Brat Albert. *Myśli wyszukane*, wyb. W. Szulczyński, Znak, Kraków 2003

BRAT ALBERT

Mądrość ubóstwa – myśli

Wstęp

Już w setną rocznicę jego urodzin pisał o nim wybitny uczyony, ks. Konstanty Michalski, że „należy do nas wszystkich... W miarę jak czas od nas go oddala, rośnie jego wielkość i jego bliskość”. Ta wielkość osiągnęła – poprzez kanonizację 12 listopada 1989 roku w Rzymie – wymiar największy, jaki może być udziałem człowieka wierzącego na ziemi. Bliskość jego natomiast jest wciąż nie dokończonym zadaniem i – jak zauważył już dawno kardynał Karol Wojtyła – „Postać Brata Alberta musi być stale zgłębiana, nosi bowiem w sobie takie bogactwo, któremu trzeba ciągle stwarzać nowe warunki promieniowania”. Właśnie w imię owych postulatów zapraszam do spotkania ze świętym Bratem Albertem (1845-1916) w skromnych ramach „skarbcza mądrości”.

*

Albert Adam Chmielowski urodził się 20 sierpnia 1845 r. w Igołomii koło Krakowa, w zubożonej rodzinie ziemiańskiej, z ojca Wojciecha i matki Józefy z Borzysławskich. Był najstarszym z czworga rodzeństwa: Stanisława, Mariana i Jadwigi. Ojciec pracował na komorze celnej, stąd miejsca pobytu rodziny (Igołomia, Słupca, Szczypiorno) związane są z jego „karierą zawodową”. Tę karierę przerywała gruźlica i Chmielowscy przenieśli się najpierw do majątku Czernice koło Wielunia, a wkrótce potem do Warszawy. Rodziców stracił Adam dosyć wcześnie: ojciec zmarł w 1853 roku, matka w 1859. Sierotami zajęła się rodzina, a przede wszystkim ciotka Petronela Chmielowska.

Po ukończeniu, w dwunastym roku, szkoły powszechnej, uczył się w Szkole Kadetów w Petersburgu (1857-58), potem, w Gimnazjum Realnym im. Pankiewicza w Warszawie (1858-

61), następnie w Instytucie Rolniczo-Leśnym w Puławach (1861-63). W Warszawie wszedł w bliższe kontakty z „czerwonymi”, organizatorami Powstania Styczniowego. Kiedy więc w 1863 roku wybiła godzina zrywu patriotycznego, Adam (wraz z puławską „siódmką”) z entuzjazmem przyłączył się do powstania i bierze czynny udział w walkach. Ujęty przez Austriaków pod Tarnowem, jakiś czas przesiedział w więzieniu w Ołomuńcu, skąd zbiegł i ponownie włączył się do walki. W jednej z ostatnich bitew upadającego powstania (30 września 1863 r.) pod Melchowem został ciężko ranny i dostał się do niewoli rosyjskiej, gdzie w prymitywnych warunkach polowych amputowano mu lewą nogę. „Wszystko postawił na jedną kartę dla miłości Ojczyzny – mówił kardynał Karol Wojtyła w 1966 roku – miłość Ojczyzny wypaliła na nim dożgonny stygmat: pozostał kaleką do śmierci, zamiast własnej nogi miał protezę”. Po operacji groziła mu zsyłka na Sybir, ale jakoś szczęśliwie, dzięki staraniom rodziny, udało mu się wydostać z więziennego szpitala i w końcu maja 1864 roku znalazł się za granicą: przybył do Paryża z zamiarem podjęcia studiów artystycznych.

Po częściowej amnestii, ogłoszonej przez Rosję w 1865 roku, powrócił do Warszawy, gdzie w 1867 roku ukończył przerwana naukę gimnazjalną, zdał maturę i rozpoczął studia w Szkole Sztuk Pięknych (Klasa Rysunku i Szkicowania Wojciecha Gersona). Chciał być malarzem, ale rodzina, myśląc praktycznie, zaciągnęła dług i wysłała Adama do Gandawy w Belgii, na studia inżynierskie. Przekonawszy się jednak o braku zdolności w tym kierunku, powrócił szybko do stolicy i chciał jechać do Monachium, aby studiować malarstwo. Stypendium na ten cel otrzymał (dzięki rodzinie Siemieńskich z Krakowa) od hrabiego Włodzimierza Dzieduszyckiego. W Akademii Sztuk Pięknych w Monachium studiował w latach 1869-74. W tym czasie brał czynny udział w życiu polskiej kolonii artystycznej i nawiązał kontakt z wybitnymi malarzami, a z niektórymi z nich (Maksy-

milianem Gierymskim, Józefem Chełmońskim, Ludomirem Benedyktowiczem) związał się dożgonną przyjaźnią. Tutaj, w Monachium, żyje „wylącznie pomiędzy książką i obrazem”, dojrzewa artystycznie, wypracowuje swój własny styl, będący „malowaniem z duszy”. Dużym wstrząsem była dla niego śmierć przyjaciela Maksymiliana Gierymskiego, w 1874 roku w Reichenhall: „Oprócz brata i dwóch przyjaciół na pogrzebie nie było nikogo”.

W 1874 roku powrócił do Polski: na krótko zatrzymał się w Krakowie, a potem wyjechał do Zarzeczca koło Jarosławia, gdzie stworzył cykle portretów rodziny Chojeckich. W styczniu 1875 roku zamieszkał na najwyższym piętrze Hotelu Europejskiego, razem z Chełmońskim, Piotrowskim i Witkiewiczem. Szybko też wszedł w środowisko elity intelektualnej ówczesnej Polski. Od tego czasu datuje się też jego znajomość m.in. z Heleną Modrzejewską, Henrykiem Sienkiewiczem i Adolfem Dygasińskim. Modrzejewska napisze o nim, że był „chodzącym wzorcem wszystkich cnót chrześcijańskich i głębokiego patriotyzmu – prawie bezcielesny, oddychający poezją, sztuką i miłością bliźniego, natura nie znająca egoizmu”. W 1878 roku odbył podróż do Włoch, odwiedził Wenecję. Potem osiadł we Lwowie, tam mieszkał i pracował razem z Leonem Wyczółkowskim. Cały ten okres „pomonachijski” jest dla niego czasem wielkiej twórczości: powstały m.in. takie obrazy jak: „Biwak powstańców w lesie”, „Powstańcy”, „Ogród miłości”, „Szara godzina”, „Nastroj wieczorny”, „Mnich na cmentarzu”, „Cmentarz włoski”, „Wizja św. Małgorzaty” i „Ecce Homo”. Ten ostatni obraz (obecnie w nowym kościele albertynek w Krakowie) stał się dziełem najbardziej znanym i najczęściej mówiącym o jego twórcy. Artysta interesuje się też stroną teoretyczną piękna, czego wyrazem jest artykuł „O istocie sztuki”. Wraz z rozważaniami filozoficznymi i tematyką religijną w swoich pracach poszukuje nadal sensu i celu życia. „Prawdy swojego powołania – mówił papież w homilii kanonizacyjnej – szukał na drodze twórczości artystycznej, pozostawiając po sobie dzieła, które do dzisiaj przemawiają szczególną głębią wyrazu. Coraz bardziej jednakże oddalał się od twórczości malarskiej. Chrystus przemawiał do niego głosem innego powołania”.

Odpowiadając na to wezwanie, doszedł do przekonania, że dla Boga trzeba poświęcić wszystko, nawet sztukę i talent: „Jeśli poznam, że jest coś doskonalsze – uczynię”. Postanowił więc zostać bratem zakonnym i – przerywając wspaniałe zapowiadającą się karierę artystyczną – w wieku 35 lat wstąpił do nowicjatu jezuitów w Starej Wsi (24 IX 1880). Próba życia zakonnego nie powiodła się jednak: po sześciu miesiącach, wśród wielkich trudności wewnętrznych, musiał klasztor opuścić. „Byłem przytomny – pisał później – nie postradałem zmysłów, ale przechodziłem okropne męki, skrupuły i katusze najstraszniejsze”. Ta skrajna depresja zaprowadziła go nawet do Zakładu dla Umysłowo Chorych w Kulparkowie pod Lwowem. Po wyjściu ze szpitala udał się do swego brata Józefa na Podole i tam, w atmosferze spokojnej wsi Kudryńce, powrócił całkowicie do zdrowia i równowagi psychicznej, w czym niemałe zasługi miał też ks. Leon Pogorzelski, proboszcz z Szarogrodu. Pod jego wpływem zainteresował się tercjarstwem franciszkańskim, zalecanym przez papieża Leona XIII w encyklice *Auspicato* (1882) i sam zostawszy tercjarzem, szerzył konspiracyjnie, pod pretekstem wykonywania prac konserwatorsko-malarskich, duchowość

tercjarską. A malował teraz dalej, przeważnie motywy religijne, portrety i pogodne pejzaże. Wzorem św. Franciszka odnawiał opuszczone kapliczki i figury przydrożne, konserwował stare obrazy, a poza tym nie ustawał w apostołowaniu i w służbie wśród najuboższych.

Ta aktywna postawa Chmielowskiego obudziła jednak czujność policji carskiej. Pod groźbą zesłania na Sybir, zostaje zmuszony do opuszczenia Podola. I tak jesienią 1884 roku znalazł się w Krakowie. Zamieszkał najpierw przy ul. Basztowej, a następnie osiadł przy klasztorze kapucynów. Równocześnie nadal malował, ale najwięcej czasu poświęcał bezdomnym. Przypadkowe zetknięcie się z tragiczną sytuacją biedaków, gromadzących się w tzw. ogrzewalniach miejskich Krakowa, stało się bezpośrednim bodźcem do podjęcia niezwyklej decyzji. Na widok zastanej nędzy i grozy miał powiedzieć: ja ich tak nie zostawię. I oto ten ceniony, zdolny malarz postanawia z miłości do Boga i ludzi zrezygnować z kariery, przenieść się na stałe do ogrzewalni i tam zamieszkać z najbiedniejszymi, by żyjąc wśród nich i tak jak oni, dźwignąć ich z nędzy moralnej i materialnej. „Rzucony na kolana przed majestatem Bożym – mówił o nim kardynał Wojtyła – upadł na kolana przed majestatem człowieka i to najbiedniejszego, najbardziej upośledzonego, przed majestatem ostatniego nędzarza”.

25 sierpnia 1887 roku w kaplicy loretańskiej kapucynów przywdział szary habit zakonny i przybrał imię Albert. Po roku na ręce kardynała Dunajewskiego złożył śluby tercjarza franciszkańskiego. Wkrótce potem dołączając do niego pierwsi współpracownicy. 1 listopada tegoż roku zarząd miasta (na podstawie umowy) powierza mu ogrzewalnię dla mężczyzn. Te ogrzewalnie stały się centrum jego działalności charytatywnej i domem jego zgromadzeń. Bo widząc potrzebę działania zespołowego, założył najpierw Zgromadzenie Braci Posługujących Ubogim (1888), a następnie (1891) Zgromadzenie Sióstr Posługujących Ubogim, którego kierownictwo powierzył słudze Bożej siostrze Bernardynie Jabłońskiej. Życie tych ludzi było niezwykle trudne: całkowite ubóstwo łączyło się tu z ciężką pracą zarobkową, podejmowaną dla podopiecznych i wraz z nimi. Wiedział, że taki styl życia i pracy, to nie sielanka, dlatego mawiał: „Potrzebujemy ludzi wyjątkowo zahartowanych i fizycznie, i moralnie. Dlatego ich nowicjaty musi być twarde i surowe, aby wcześniej cofnęły się bardziej miękkie natury i słabsze dusze”. Dla zakonnej formacji (i po trosze dla odpoczynku) członków obu zgromadzeń organizował pustelnie, m.in. w Monastyrku koło Werchraty, Prusiu koło Lwowa i w Zakopanem, na Kalatówkach.

Brat Albert wraz ze współbraćmi i współsiostrami poświęcił się całkowicie najuboższemu, bezdomnemu, wydziedziczonemu i opuszczonemu. Dla tych ludzi organizował przytuliska zapewniające im pomoc materialną i moralną, a także umożliwiające chętnym do pracy zarobek. Mimo kalectwa i niewygodnej protezy, wiele podróżował, aby zakładać nowe domy i przytuliska, sierocińce dla dzieci i młodzieży, domy dla starców i dla nieuleczalnie chorych. Jeszcze za jego życia powstało 21 domów, w których żyło 40 braci i 120 sióstr. W myśl jego intencji miano w tych domach „każdemu ubogiemu dać jeść, bezdomnemu miejsce, a nagiemu odzież”.

Wyniszczony ciężką chorobą (rak żołądka), zmarł mając 71 lat, w Boże Narodzenie 1916 roku, w przytulisku dla bezdom-

nych w Krakowie. Przed śmiercią powiedział do otaczających go braci i siostr, wskazując na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej: „Ta Matka Boska jest waszą Fundatorką, pamiętajcie o tym” i dodał: „Przede wszystkim ubóstwo zachowajcie”. Pogrzeb miał istic królewski, cały Kraków żegnał „Ojca ubogich i nędzarzy”. W nekrologach pisano: „Dzięki Bogu, są jeszcze święci w Kościele Bożym i na polskiej ziemi”.

Starania o wyniesienie Brata Alberta na ołtarze wszczęte jeszcze w 1934 roku, zostały uwieńczony beatyfikacją, której dokonał na Błoniach krakowskich w dniu 22 czerwca 1983 roku Jan Paweł II oraz kanonizacją w Rzymie w dniu 12 listopada 1989 roku. Jest to trzecia kanonizacja Polaka w XX wieku, po św. Andrzeju Boboli i św. Maksymilianie Kolbem. „Ufamy – piszą biskupi polscy w Liście Pastorskim z 7 października 1989 roku – że wywrze ona głęboki wpływ moralny na nas, współczesnych Polaków i na życie naszego Kościoła w przyszłości”. A sam Ojciec Święty na audyencji dla Polaków, przybyłych na kanonizację, głośno się zastanawiał, „czy ten, który – idąc za Chrystusem – pomagał ludziom dźwigać się, odzyskiwać ludzką godność i podmiotowość, stawać się współtwórcami wspólnego dobra społeczeństwa, nie jest nam dany jako znak i jako patron tego trudnego przelomu?”

*

Sylwetka duchowa św. Alberta już na pierwszy rzut oka prezentuje się niezwykle oryginalnie i bogato. To bogactwo jego osobowości i życia duchowego wypunktował precyzyjnie kardynał Karol Wojtyła: „Wielkość wnętrza, bogactwo życia wewnętrznego, przemawia głębią wyboru, którego dokonał, a równocześnie dojrzałością rezygnacji, jakie podjął ze względu na ten wybór. Wybierając zaś bezwzględne ubóstwo oraz posługę ludziom najbardziej społecznie upośledzonym, wyszedł na spotkanie problemu, który nie przestaje dominować w życiu ludzkości i Kościoła. W to wszystko wreszcie uniósł Brat Albert to całe zaangażowanie patriotyczne, miłość Ojczyzny, której poświęcił swe zdrowie już w młodzieńczych latach, pozostając do końca życia jednonogim kaleką. Wniósł również ogromny urok artysty-malarza, człowieka wyjątkowego talentu, człowieka, który szuka coraz dojrzałszych wymiarów piękna, dobra i prawdy”.

Naturalnie, że już sama historia życia w swych zakolach „przymulala” mu, że tak powiem coraz to nowe „duchowości” kościelne: św. Ignacego, św. Franciszka, św. Jana od Krzyża, czy św. Wincencego a Paulo. Mistrzem jednak zawsze był dla niego Biedaczyna z Asyżu: z całym radykalnym oddaniem się Bogu.

Analizując sylwetkę duchową Brata Alberta nie sposób nie zatrzymać się przynajmniej na jego trzech, nakładających się na siebie, wizerunkach: oto jawi się przed nami wrażliwy artysta, radykalny naśladowca świętego Franciszka i heroiczny sługa ubogich.

Wrażliwy artysta. Już jego wrodzona natura, mocno uczuciowa, introwersyjna i marzycielska, podpowiadała mu drogę artysty i predysponowała do służby pięknu. Rzeczywiście, Adam Chmielowski był z uzdolnienia (a talentów mu nie brakowało!), powołania (a był tego świadom!) i wykształcenia (a potrafił o nie zadbać!) rasowym artystą. Nic dziwnego, że ani mu się śniło iść na łatwiznę i produkować – jak inni – „krowy i osły

w pejzażu... że lepszych i sam Pan Bóg nie zrobił”. „Służbę u sztuki” pojmował jako poszukiwanie prawdy, jak obszar poszukiwania wartości, poszukiwania wytrwałego – aż do znalezienia. Dlatego wnikliwie obserwował świat i ludzi, rozchytywał się w Platonie, dyskutował z kolegami po fachu o posłannictwie prawdziwej sztuki, malował równie namiętnie, jak walczył za ojczyznę. Szukał nie tylko „wrażu”, ekspresji i uniwersalnego przesłania sztuki, lecz także swego własnego miejsca na mapie ówczesnej kultury.

„Był najprzedniejszy wśród nas, kulturą, wiedzą, charakterem, a kto wie, czy i nie talentem. Jego zdanie, jego sąd w sprawach sztuki był bodaj miarodajniejszy dla nas niż opinie profesorów” – pisał o nim Leon Wyczółkowski. Helena Modrzejewska mówiła, że „w sztuce malarskiej był bardzo subtelnym kolorystą”. Znaczący przedmiot zaliczają go do romantycznego realizmu. Krajobrazy i sceny wieczorne, pejzaże o zmierzchu, nokturny – były dominującą tematyką jego twórczości. Ulubione kolory to szarość i zieleń, z akcentami bieli lub czerwieni. W niektórych dziełach widać wyraźne wpływy impresjonizmu. Malarstwo swoje traktował, jak się rzekło, poważnie: jako powołanie życiowe. Przeżywał przy tym niejedne niepokoje i rozterki: „Przez cały dzień męczyć się trzeba nad obrazem, a wieczór ani jednej godziny wesołej, ani jednej myśli, tylko ciągle kolory i linie. Ja od czasu, jak maluję, tom ciągle zajęty albo zmartwiony” – żalił się Siemieńskiemu w 1870 roku.

Praca na „pełnych obrotach” to dla niego również intensywna refleksja na temat malowanych obrazów, sensu malowania, sensu sztuki w ogóle. Swoje credo artystyczne wypowiedział w artykule „O istocie sztuki”, wydrukowanym w warszawskim Ate-neum” w 1876 roku: „Istotę sztuki – wyznawał – jest dusza wyrażająca się w stylu”. Źródłem piękna i sztuki jest dusza ludzka, której uszlachetnienie należy do najważniejszych zadań każdego twórcy. Sztuka to zdolność do ekspresji życia duchowego w jakimkolwiek stylu. O dziele sztuki rozstrzyga przede wszystkim piękno duchowe człowieka, jego uczucia, przeżycia, fantazja i marzenia.

W rozważaniach artysty pojawia się z czasem refleksja o malarstwie religijnym, które też winno mieć swoją „podbudowę”: życie wiarą. W tym kontekście pada zasadnicze pytanie: „Czy służąc sztuce, Bogu też służyć można?... Chrystus mówi, że dwom panom służyć nie można, choć sztuka nie mamona, ale też nie Bóg. Bożyszczce przedziej. Ja myślę, że służyć sztuce, to zawsze wyjdzie na bałwochwalstwo”. Dlatego postanawia sztukę włączyć w służbę Bogu, sztuką służyć Najwyższemu: jak podziwiany przez niego Fra Angelico „sztukę i talent, myśli, Bogu ku chwale poświęcić i święte rzeczy malować”. Nie śpieszy się przy tym, bo czuje, że podbudowa jeszcze zbyt krucha, że wewnątrz jeszcze nie jest gotowe do takiego zbyt wielkiego „przekazu”: Ja sobie to tak te rzeczy tłumaczę, że chcąc zrobić religijny obraz, to trzeba wierzyć ślepo, a w obrazie najniżej i najszczerzej powiedzieć to, co się myśli, inaczej to jest komedia”.

Chmielowski bał się komedii, dlatego prosił Boga o łaskę, aby mógł malować obrazy religijne. Podchodził do tych tematów z pietyzmem, wiarą i lękiem o komunikatywność przekazu. Chciał, aby jego obrazy, i to nie tylko te sensu stricto religijne, przybliżały Boga tym, którzy Go szukają. Wystarczy wpatrzeć się np. w „Krajobraz z Zawala” czy „Widok ulicy w podolskim

miasteczku”, aby przekonać się o głębi wyrazu dzieł „świeckich”, wychodzących spod pędzla Chmielowskiego.

O jednym – najslynniejszym chyba – obrazie trzeba tu jeszcze wspomnieć. Kiedyś był on własnością lwowskiego metropolity greckokatolickiego, Andrzeja Szeptyckiego, dziś przechowują go siostry albertynki w nowym kościele zgromadzenia, jako cenną relikwię. Chodzi o przejmujący obraz „Ecce Homo”, obraz malowany przez wiele lat, nieustannie poprawiany i uzupełniany, i właściwie niedokończony, „pozostawiony w fazie pracy”. Widać na nim Jezusa w ciemnowej koronie, z trzcina w rękę; spadająca z lewego ramienia szata odsłania ciało posiekane biczami. Uważny obserwator dostrzeże, że właśnie ten odkryty, rozświetlony fragment postaci Chrystusa ma kształt wielkiego serca. Wygląda to tak, jakby cały Chrystus zamienił się w serce, pocięte szramami po biczowaniu. Jezus stoi sam. Arcybiskup Janusz Bolonek dostrzega, że „oczy Pana Jezusa patrzą na królewską świtę, której na tym obrazie nie ma”. I dodaje, że ten „królewski dwór stanowią podopieczni Brata Alberta”.

Z biegiem czasu Chmielowski w swych rozmyślaniach i poszukiwaniach dochodzi do przekonania, że chcąc służyć Bogu, trzeba Mu też poświęcić sztukę i talent. Decyzja wyboru życia zakonnego była tylko logiczną konsekwencją tego przekonania. I tak artysta, który przyjaźnił się z ówczesną elitą intelektualną, który miał na nią poważny wpływ, porzucił sztukę dla służby Bożej albo lepiej, czego dowodem jest jego późniejsza praca wśród „opuchlaków”, drogę do Boga poprzez służbę sztuce – zamienił na drogę ku Bogu w służbie ludziom. Nie, sztuki samej nie zdradził nigdy. Jak tylko otrząsnął się z tej starowiesko-podolskiej nocy, z zapalem zabrał się do pędzla i palety. W duchu świętego Biedaczyny zajął się odnawianiem obrazów po kościołach i kapliczkach. Tworzył też nowe dzieła „z potrzeby duszy”. Później, gdy osiadł na stałe w Krakowie, będzie też od czasu do czasu malował, ale już tylko dlatego, aby zdobyć pieniądze na chleb dla swoich podopiecznych. Obrazów już nie sygnował. Teraz nie były już takie ważne. Ważny był człowiek, zwłaszcza ten „ze świty Ubiczowanego”, ten zepchnięty na najdalszy margines. W tych właśnie ludziach święty Albert dostrzegał obraz Boży. Jak zauważył ks. Konstanty Michalski, Brat Albert pozostał do końca życia artystą, „by służyć pięknu w sponiewieranym człowieczeństwie”. Temu pięknu nie tylko służył, ale je też odkrywał i ocalał od zagubienia.

Nigdy też nie porzucił swoich artystycznych i intelektualnych przyjaźni. Więcej, w jakiś sposób był również duszpasterzem ówczesnych środowisk twórczych. Na przykład do Józefa Chelmońskiego pisał ze Starej Wsi bez ogródek: „Radzę ci jak twój szczerzy brat i kolega, żebyś się ratował i po prostu, po chłopsku do spowiedzi poszedł, jak możesz najprędzej”. Jackowi Malczewskiemu zaś, odmawiając przyjęcia do albertynów, miał powiedzieć: „Ty, Jacku, jesteś taki esteta i łobuz, że pewnie już teraz cieszysz się, jak ci będzie w trumnie do twarzy w kapturze”. Szukali go więc ludzie pióra i pędzla, profesorowie i politycy. Wszyscy byli zauroczeni fenomenem Brata Alberta, tego, który – jak ktoś ze współczesnych zauważył – „serce miał złote i wszelkie rodzaje niedoli odczuwał z subtelnością przedziwną”, zapewne z tą samą subtelnością, z jaką odczuwał barwy i kompozycje obrazu. Wszyscy podziwiali i odnosili się z szacunkiem do jego „dziwnej i gruntownej metamorfozy”, u podstaw której leżał

świadomy wybór: „Gdybym miał dwie dusze, to bym jedną z nich malował, ale że mam jedną, jedyną, więc musiałem wybrać to, co najważniejsze”.

Radykalny naśladowca św. Franciszka. Odkąd wpadła mu w ręce (u ks. Pogorzelskiego w Szarogrodzie) niewielka książeczka pt. „Przewodnik do Reguły Trzeciego Zakonu św. Franciszka Serafickiego”, odtąd nigdy już nie stracił z oczu świętego Biedaczyny z Asyżu. Dzięki tej lekturze nie tylko „zasmakował” w ideałach franciszkańskich, ale także, jak się zdaje, nawiązał szczególnie duchowy kontakt ze św. Franciszkiem, pragnąc go niejako przenieść we wstępujący wówczas dwudziesty wiek; przenieść go wraz z jego całym zorientowaniem na dosłowność Ewangelii. Nie bez powodów stwierdzono w czasie procesu kanonizacyjnego, że Brat Albert jest najwierniejszym wcieleniem św. Franciszka w ciągu wieków.

Idąc śladami Franciszkwymi, nadal jednak tej drodze oryginalne rysy i swoje indywidualne piętno. Punktem wyjścia tej drogi była świadomość umiłowania przez Boga, świadomość zbliżenia Boga do człowieka poprzez Chrystusa uniżonego i wyszydzonego, poprzez zjednoczenie w Eucharystii: „Czy Jego miłość obmyślała coś jeszcze piękniejszego?” – medytował na piśmie. Motorem na tych franciszkańskich ścieżkach stała się pełna wdzięczności odpowiedź na miłość Bożą, objawioną w Chrystusie i w Jego męce: „Czy Panu Jezusowi, cierpiącemu za mnie mękę i za mnie ukrzyżowanemu, mogę czego odmówić?” – zapytował w notatniku rekolekcyjnym. W tę odpowiedź starał się – za przykładem św. Wincentego a Paulo, który nakazywał kochać tak, aby od miłości bolały ręce – włączyć całą swoją osobowość, wraz z bogatym życiem uczuciowym i fizycznym trudem wykonywanej pracy.

Rzetelna odpowiedź na miłość Bożą to też ufne zaangażowanie w odczytywanie woli Bożej oraz konsekwentne jej wypełnianie: Jeżeli Pan Jezus mówi A, to chce, żeby Mu powiedzieć B i C do samego końca alfabetu”. Na pierwszym miejscu tego na nowo odczytywanego „ewangelicznego alfabetu” stoi według niego pierwsze z Ośmiu Błogosławieństw: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie” (Mt 5,3). Wzorem Biedaczyny z Asyżu pokochał bez reszty Panią Biedę. Sam praktykując skrajne ubóstwo, polecił przedśmiertnym testamentem także swoim zgromadzeniom, aby wyrzekły się wszelkiej własności, „jak to św. Ojciec Franciszek ustanowił: ani domu, ani miejsca, ani żadnej rzeczy”. Ubóstwo posunięte do оголоcenia z majątku, wygod, sławy, z wszelkiego rodzaju dóbr materialnych i intelektualnych miało być sposobem uczestnictwa zarówno w ubóstwie Chrystusa, jak i w trudnym życiu najuboższych.

Za św. Franciszkiem dopatrywał się w każdym stworzeniu braterstwa w Chrystusie. Patrzył na świat wrażliwymi oczami artysty i kontemplatyka, odnajdywał i podziwiał w nim odbicie Bożej miłości i Bożego piękna. Tę ujmującą życzliwość widać było ze szczególną wyrazistością wówczas, gdy Brat Albert miał do czynienia z ludźmi ubogimi i pogardzanymi.

Św. Franciszek był dla niego najwyższym wzorem postępowania na co dzień. Do niego odwoływał się jako do swego orędownika i adwokata, i nigdy nie ustąpił ani na krok, jeśli chodziło o ducha ewangelicznego ubóstwa. To z miłości do niego przetłumaczył, opracował i wydał w 1888 roku „Przewodnik do reguły Trzeciego Zakonu” i stał się – jak go nazwano – „Pierw-

szym Tercjarzem Polski, bo chyba nikt inny w dawnej ani w nowej Polsce nie pokazał we własnej swej osobie, we własnej duszy i na własnej skórze, czym był kiedyś św. Franciszek z Asyżu”.

Heroiczny sługa ubogich. Światy Albert wiedział z Ewangelii, że Jezus miłujący każdego bez wyjątku człowieka, szczególnym upodobaniem darzył ludzi naznaczonych cierpieniem, chorobą czy biedą. Wrodzone poczucie piękna i kontemplatywne zjednoczenie z wolą Bożą pozwoliło szaremu Bratu dostrzec ukryte piękno Chrystusowego oblicza w twarzach najbiedniejszych, włóczęgów, alkoholików, złodziei, w twarzach tych, którzy, jak się wyraził Jan Paweł II: „znajdowali się nie tylko na dołach społeczeństwa, ale dosłownie na dnie”. Tych właśnie najniezwyklejszych wybrał i ukochał, im postanowił służyć aż do całkowitego poświęcenia swego życia. Ta służba miłości najbardziej opuszczonym stała się dla niego formułą ostatecznego oddania się Chrystusowi. U progu owego posługiwania przyjął nowe imię, przywdział szary habit i ślubował „Ewangelie Pana Naszego Jezusa Chrystusa aż do śmierci zachować”. Przypiętował w ten sposób ostateczność i nieodwołalność swojej decyzji, będącej uwieńczeniem długiego procesu przemian, owocem łaski Bożej i żmudnej pracy nad sobą.

Poświęcając się bez reszty biedocie, nie chciał bynajmniej grać roli hojnego filantropa: „Fundusze, które mamy w ręku – podkreślał – nie są naszą własnością, ale należą do ubogich; za tę pracę wolno nam zaopatrywać potrzeby do życia należące, ale nie wolno ani w pospolitości, ani pojedynczo mieć żadnej własności”.

Do pracy zabrał się z typowym dla siebie zapalem i zadziwiająco zmysłem praktycznym. Szybko się zorientował, że jedna para rąk niewiele tu może zdziałać, że potrzeba do tego zbrojne go dzieła wielu oddanych ludzi – tak samo jak on patrzących na świat. Znaleźli się tacy: kobiety i mężczyźni. Przyłączyli się do niego owi pierwsi „szaleńcy”, z których wyrosły potem dwa zgromadzenia „posługujące ubogim”. Wpajał im od początku, że istnieją tylko dlatego, „ponieważ istnieją ubodzy; gdyby nie było ubogich, to by i was nie było potrzeba”.

Założyciel chciał, aby jego duchowi synowie i córki pracowali nie tylko w osławionych przytuliskach, ale także na wsiach wśród biedoty wiejskiej, wśród bezrobotnych w wielkich miastach. Oczywiście, skromna liczba naśladowców nie pozwoliła mu zrealizować tych planów w całej rozciągłości. Ale bracia i siostry Alberta zdali egzamin w wielkich przytuliskach dla bezdomnych i bezrobotnych oraz w zakładach dla kalek i nieuleczalnie chorych, dla starców i umysłowo upośledzonych.

„Na zewnątrz” przytuliska były domami „w równej mierze chwilowego schronienia, stałego przytulku i pracy dobrowolnej”. Z biegiem lat stały się miniaturowymi, samowystarczalnymi gminami, w których ubodzy razem z zakonnikami zapracowywali na własne utrzymanie. „Na wewnątrz” były także domami zakonnymi dla członków zgromadzenia: „Krańcowe ubóstwo, nędza odrażająca, obawa zarazy i wszystko, co wstrętem przejmują ludzi na świecie” pełniły dla nich rolę klauzury. Heroizm tej postawy polegał na tym, że wszyscy na równi byli „pensjonariuszami” przytulisk, że byt „gości” nie różnił się od sposobu życia „gospodarzy”. Przykład szedł z góry, od Brata Alberta, który był nie tylko „miłośnikiem”, ale stał się jednym z tych, którym służył: ich bratem, szarym, jak ich codzienność, bratem. Przez swoją obecność nie tylko dzielił z nimi biedę, pracę, ich

warunki życia, ale także apostołował świadectwem, ukazując autentyczne miłosierdzie ewangeliczne i swą postawą pociągając do Boga tych, co znaleźli się poza nawiasem życia społecznego. W programie rehabilitacji były zarówno opieka i pomoc „w potrzebach doczesnych”, jak i „pouczanie prawd wiary, nakłanianie do modlitwy, słuchania Mszy św., spowiedzi”. A nawet przy większym napływie ubogich „mają być w domu wspólne rekolekcje”.

W ten sposób Brat Albert poświęcił! całkowicie 22 lata swego życia najuboższym i wzgardzonym. Wśród nich dokonał żywota, wybrał posługę najuboższym i najbardziej upośledzonym, i od tego czasu „jego życie stało się jak gdyby wielkim manifestem społecznym”. Opowiadają, że ktoś postawił Bratu Albertowi pytanie: Czy jest szczęśliwy, czy znalazł to, czego szukał? Oto usłyszał: „Mam schroniska i konwikty dla mych braci i siostr w Krakowie, w Tarnowie, we Lwowie, w Zakopanem, rozdałem w tym roku 20000 bochenków chleba, 12000 porcji kaszy, daję nocami dach nad głową setkom tych, którzy go nie mają... Niech ci to, bracie, służy za odpowiedź”. I taki dziwny był ten święty naszego wieku: wrażliwy poeta, radykalny naśladowca św. Franciszka, heroiczny sługa ubogich. Przy spotkaniu z nim zdawało się – jak to zauważa ks. Michalski – „że kawał nieba przegląda przez jego oczy”.

*

Adam Chmielowski, „człowiek niepospolitego umysłu i głębokiego uczucia religijnego”, budził już u współczesnych cześć i szacunek. Helena Modrzejewska – jak już wspomniano – mówiła o nim, że jest ucieleśnieniem wszystkich cnót chrześcijańskich i najbardziej płomiennego patriotyzmu. Adolf Nowaczyński nazwał go (już w tytule eseju) najwspanialszym człowiekiem swego pokolenia. Ten „najwspanialszy człowiek” już za życia był natchnieniem dla malarstwa i literatury. Portretowali go Leon Wyczółkowski, Cyprian Dylczyński, Antoni Piotrowski, Aleksander Gierymski, Julian Maszyński, czy ze współczesnych Maria Przyborowska i Adolfa Hyla. Najszlachetniejszym portretem jest chyba ten niedokończony Wyczółkowskiego z roku 1933, „gdzie z ziemistej opończy Brata rodzi się tęcza cudna jak legenda, ale cudniejsza jeszcze przez to, że wyświetla na zewnątrz ten heroizm i tę nową miłość, która jak spalający płomień zajęła całą istotę dziwnego człowieka” (ks. Michalski).

Do literatury wprowadził go Adam Krechowiecki, który w swoich powieściach *Jestem* (1894) i *Kres* (1896) każe malarzowi Warszawowi zrezygnować z kariery artystycznej i założyć przytułek dla biednych. Tadeusz Miciński wodzi go po stronach swej fantastycznej powieści *Nietota. Księga tajemna Tatr* (1910) i daje mu imię brata Wysza. Stefan Zeromski w powieści *Nawracanie Judasza* (1916) robi go przewodnikiem i byłym malarzem. Po wojnie Tadeusz Kudliński w powieści *Świętokradca* (1947) „wypożycza” go sobie dla stworzenia postaci wybitnego malarza Adama Tyczyńskiego, który na skutek przeżyć wojennych (akcja rozgrywa się w czasie II wojny światowej) przemienia się wewnętrznie, rezygnuje z kariery artystycznej i jako brat Emanuel poświęca się najuboższym.

Ale nie tylko powieść (gatunkowo pojemna) była literackim obszarem, na którym ukazywano tego „dziwnego człowieka”. Chętnie gościły go również eseje, opowiadania, utwory scenicz-

ne, nie mówiąc już o wspomnieniach. W roli „gospodarzy” występowała cała litania autorów: Pia Górka, Jan Wiktor, Gustaw Morcinek, Adolf Nowaczyński, Alicja Okońska, Beata Obertyńska, Henryk Ptak, Michalina Janoszanka, Maria Witkiewiczówna, Maria Morstin-Górka, ks. Henryk Weryński, Maryla Wolska, Witold Zechenter, Tadeusz Żychiewicz. Wybór wspomnień opublikowano w I tomie „Chrześcijan” (1974), s. 134-169. Jednym słowem, Brat Albert ze swoją autentyczną historią życia, ze swym heroizmem miłości i ubóstwa – był dla literatury wdzięcznym tematem, łączącym w sobie liryzm i dramat kondycji ludzkiej.

W tym kontekście trudno nie wspomnieć opublikowanego dopiero w grudniu 1979 r., ale napisanego w latach 1945-1950 dramatu pt. „Brat naszego Boga” autorstwa Karola Wojtyły. To poetyckie studium – jak pisze we wstępie sam Autor – chce być „próbą przeniknięcia człowieka”, któremu na imię Adam Chmielowski. W trzech częściach: Pracownia przeznaczeń, W podziemiach gniewu, Dzień brata – przewijają się obrazy z życia bohatera, rysowane wyraźną kreską, z głębokim tłem psychologiczno-obyczajowym. Wewnętrzna dynamika utworu zdaje się wypływać z tej sceny, w której Adam postanawia „sprawdzić dokładność swego malarskiego widzenia w legowisku nędzarzy”. Owo „sprawdzanie” sprawiło, że z malarza Adama zrodził się Brat Albert – wyznający przed sztalugami ze swoim „Ecce Homo”:

„Jesteś jednakże straszliwie niepodobny do Tego, którym jesteś –

Natrudziłeś się w każdym z nich.

Zmęczyłeś się śmiertelnie.

Wyniszczyli Cię –

To się nazywa Miłosierdzie.

Przy tym pozostałeś piękny.

Najpiękniejszy z synów ludzkich.

Takie piękno nie powtórzyło się już nigdy później –

O, jakież trudne piękno, jak trudne.

Takie piękno nazywa się Miłosierdzie”.

Żywotem i dziełem Brata Alberta interesowali się od początku (i interesują do dziś) również historycy Kościoła i sztuki, teologowie i filozofowie, dzielnopisarze i hagiografowie. Pierwszymi sumiennymi biografami byli księża misjonarze: Czesław Lewandowski i (często tu przywoływany) Konstanty Michalski. Ten pierwszy – spowiednik i kierownik duchowy Brata Alberta – pozostawił dzieło obszerne, ale, niestety, nie dokończone (leży do dziś w maszynopisie). Ks. Michalski wydał swoją pracę zaraz po wojnie, w 1946 roku w Krakowie (książka miała kilka wydań w kraju i za granicą). Inne opracowania syntetyczne wyszły spod pióra Marii Winowskiej (1953), o. Władysława Kluza, karmelity (1975), s. Magdaleny Kaczmarzyk, albertynki (1985), w tomie V opracowań zbiorowych „Święci polscy”. Nawet znany szwajcarski protestant Walter Nigg wziął na tapetę „Brata Alberta z Polski” i zatytułował swój esej o nim, „Zstąpienie na dno”, gdzie zauważył z podziwem: „Brat Albert dał z siebie drugim wszystko. Przy całej niepozorności dokonał olbrzymiego dzieła i niełatwo uda mu się dorównać. Był nie tylko genialnym inicjatorem, lecz posiadał też umiejętność wykonania i wytrwania”.

O ciągłej obecności Brata Alberta świadczy jego imponująca bibliografia w I tomie „Hagiografii polskiej” (1971), zebrana przez o. Romualda Gustawa OFM i już wtedy licząca 28 stron (228-256). Ta obecność daje o sobie znać raz po raz jakimiś nieoczekiwanymi znakami. Np. w roku 1938 prezydent RP Ignacy Mościcki nadał mu pośmiertnie wielką wstęgę Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi w działalności niepodległościowej i na polu pracy społecznej”; w 1947 r. wyszły dwa znaczki pocztowe z jego podobizną, według projektu Stanisława Żelechowskiego. Jego imię noszą powstałe ostatnio domy opieki społecznej i nagroda przyznawana za wybitne osiągnięcia w sztuce sakralnej.

Adam Chmielowski sam nie był pisarzem. Bibliografia jego prac drukowanych zawiera zaledwie kilka pozycji: artykuł „O istocie sztuki” (1876), „Przewodnik (większy) do Reguły...” (1888), referat o tercjarstwie i kilka sprawozdań (drukowanych w prasie lub oddzielnie). Ks. Alfons Schletz CM zebrał to wszystko, dodał listy i inne rękopisy, i wydał jako XXI tom „Naszej Przyszłości” (1965). Cała spuścizna (z 49 ilustracjami) liczy zatem 224 strony. Na tych właśnie stronach szukałem myśli, które mogłyby i nam przybliżyć charyzmat Brata Alberta oraz sens, bogactwo i mądrość ubóstwa.

K.W.

- 1 Pójde, gdzie zechcesz; zrobię, co każesz.
- 2 Służyć najuboższym, upatrując w nich Chrystusa, Pana ubogiego.
- 3 Nie chcemy być zaraz na początku jakąś lichą gałązką rodziny franciszkańskiej, ale naśladowujący wprost ubóstwo Ojca naszego, Franciszka.
- 4 Fundusze, które mamy w ręku, nie są naszą własnością, ale należą do ubogich.
- 5 Jeżeli poznam, że coś jest doskonalsze, uczynię.
- 6 Aby snadź Pan Jezus nie skarżył się potem na nas, że był głodny w osobie ubogich na ziemi, a myśmy Go niezdrową, czy źle przyrządzoną potrawą raczyli.
- 7 Trójca Święta ukrywa się w środku duszy.
- 8 Pan Bóg wie dobrze, w jakim nikczemnym garnku duszę nosimy. Dlatego dał spowiedź jak krynicę, żebyśmy się w niej myli, bo życie brudzi każdego jak błoto.
- 9 Nie jest przyjęte w naszej etyce stawianie niedyskretnych pytań.
- 10 Nie jest miłość doskonała, jeżeli nie jest na tyle silna i szlachetna, aby oczyściła duszę ze wszystkich uczuć obcych.
- 11 Zbyttnia troskliwość i kłopotliwe myśli szkodzą interesom, a do smutku i melancholii usposabiają, które to rzeczy są trucizną życia.
- 12 Ubóstwiać siebie samego, to najgłupszy i najpodlejszy gatunek bałwochwaltwa.
- 13 Przykład powinien być tak zbliżony do otaczających warunków, tak pokorny, tak nędzny, aby nie raził swoim „stylem”, nie wlaził w oczy, nie upokarzał.
- 14 Świat jak złodziej wydziera co dzień i w każdej godzinie wszystko dobre z serca, wykrada miłość dla ludzi, wykrada spokój i szczęście, kradnie nam Boga i niebo.
- 15 Dobra wola i wola Boska jest to samo.
- 16 Jakiego Bóg człowieka stworzył, takie i obrazy będzie robił.

- 17 Jeśliby cię zawołano do biedaka, idź natychmiast do niego, choćbyś był w świętym zachwyceniu, gdyż opuścisz Chrystusa dla Chrystusa.
- 18 Nie chcę pociechy ani nieba, gardzę potępieniem. Chcę cierpieć dla Ukrzyżowanego.
- 19 Psie rzemiosło, to malowanie i cała służba u sztuki.
- 20 Bezstronna krytyka i dyskusja spokojna – jest dla prawdy pożyteczna.
- 21 Chrystusem się karmię. On we mnie żyje i nie mogę czytać inaczej, ani chcieć jak On.
- 22 Sztuka na bardzo nudnych ludzi wy kierowuje swoich adeptów.
- 23 Jak człowiek do pewnych lat dojdzie i zaczyna trochę rozumu nabierać, chętnie by wiedział, jaka jest jego droga i jaką zda sprawę z życia.
- 24 Patrę na Jezusa w Jego Eucharystii. Czy jego miłość obmyśliła coś jeszcze piękniejszego? Skoro jest Chlebem i my bądźmy chlebem. Skąpy jest ten, kto nie jest jak On.
- 25 Dzieła sztuki są duchem i do ducha naszego mówią.
- 26 Cierpieć jest prawdziwie jedyne dobro.
- 27 Tylko u stopni ołtarza można silnie związać łańcuch jedności narodowej i duchowego braterstwa, które rozrywa prywatą i egoizm.
- 28 Sługa Boży ma być zawsze wesoły i spokojny, bo wie, że nad nim opieka Boska.
- 29 Zgadzać się z wolą Bożą, to jest największe dzieło.
- 30 Skrajne ubóstwo i pastorał bardzo dobrze się zgadzają ze sobą.
- 31 Osoba zakonna posłuszna ma zapewnione zbawienie, bo posłuszeństwo wyłącza grzech i jest matką cnót.
- 32 Kto maluje szczerze, maluje z duszy; maluje tak, jak go Pan Bóg stworzył.
- 33 Niech Bóg sam robi, co chce, ja zaś nie będę do tego ręki przykładał, żeby nie popsuć dzieła Bożego.
- 34 Pan Jezus sprawy załatwia.
- 35 Zaparcie, pokuta, umartwienie – poza tym wszystko oszukaństwo.
- 36 Krzyż jest tajemnicą, wymaga wiary. Krzyż jest światłem, które oświeca umysł; szczęśliwy, kto mu odda serce i dostanie łaskę miłowania.
- 37 Wszystkie dzieła prawdziwie wielkie i święte mają tę właściwość, że dają się prostymi środkami traktować.
- 38 Kto cierpi pokusę i napaści, ma zasługę przed Bogiem.
- 39 Jeżeli się przedstawia coś przyjemnego dla zmysłów, co nie mierza wprost do czci i chwały Boskiej, zaniechać tego z miłości do Pana Jezusa.
- 40 Oschłość osmuca modlitwę, męczące roztargnienia ściągają, nawet w modlitwie, myśli wątpliwe i bluźniercze. Czy to ten krzyż, który ma mnie zbawić?
- 41 Doskonałość cnoty – to sam Bóg.
- 42 Osoba zakonna bez modlitwy jest osobą bez rozumu.
- 43 Miłość krzyża nie jest czuła. Miłość krzyża opiera się na chęci podobieństwa z Chrystusem, na zgadzaniu się z Jego woła.
- 44 Chcieć doskonałości Ewangelii, jest chcieć Chrystusa Pana, czyli kochać Go z całego serca, duszy i z całej myśli. Wykonać, jest to wierność tej miłości.
- 45 Oblubienica musi cierpieć na duszy, musi Ukochanemu pomagać krzyż nosić, takie jest prawo Miłości.
- 46 Dusza się nudzi, bo chce zobaczyć Ukochanego i z Nim się połączyć (a nie może to nastąpić, dopóki ją Pan Jezus w sobie nie przemieni).
- 47 Czy Panu Jezusowi, cierpiącemu mękę i za mnie ukrzyżowanemu, mogę czego odmówić? Czy mogę odmówić męki dla Niego i krzyża, gdybym je z łaski i woli najświętszej miał cierpieć i mógł? Czy bym chciał cierpieć?
- 48 Rewolucja francuska wydaje mi się jako ohydny, krwawy skandal, rządy gburów.
- 49 Głupi ten, co ma źródło pod nosem, a pije z konewki.
- 50 „Proście, a weźmiecie”... Nie prosić, to nic nie mieć.
- 51 Nawracać dusze ludzkie do Boga jest najpewniej święte działanie, ale ubezpieczyć i utrwalić owoce tego nawrócenia jest działanie tyleż święte, a z pewnością o wiele trudniejsze.
- 52 Jakże pożyteczny jest każdy Chrystusa Pana żołnierz, jeżeli rzeczywiście tarczę pokuty i miecz miłosierdzia trzyma w dłoni.
- 53 Każdy zakon, w którym reguła i ustawy nie są poszanowane, nie wart jest egzystencji, bo działa wtedy źle i szkodliwie.
- 54 Chcąc zrobić religijny obraz trzeba wierzyć ślepo – a w obrazie najnaiwniej i najszczerzej powiedzieć to, co się myśli; inaczej jest komedia.
- 55 Modlitwa nie zależy na uczuciach i na łzach, ale na sile woli w uzyskaniu woli Bożej.
- 56 Najskuteczniejszy sposób chwały Boskiej to cierpieć dla niej.
- 57 Byliśmy odkupieni krwią, czy możemy się zbawić nie cierpiąc?
- 58 Chcieć przy mnie jest, wykonać nie znajduję, któż mnie w nędzy wspomozę?
- 59 Nic nie jest moją własnością tylko nicość, jestem niczym sam z siebie, wszystko inne jest własnością Boga.
- 60 Bez modlitwy nie podobna wytrwać w powołaniu.
- 61 Zostając franciszkanami trzeba albo przystosować się do formy egzystującej i oprzeć się na którym z zakonów, albo stworzyć nową formę, czyli reformę.
- 62 Cnota polega na znajomości praktycznej Boga i siebie.
- 63 Przyjmować wszystko, co się zdarza i tego chcieć jako woli Boskiej – to są środki zbawienia.
- 64 Na te wszystkie duchowe wrażenia, sprzeczne i przykre, nie trzeba nic zważać, bo by się diabeł cieszył.
- 65 Być zwróconym do Boga i do doskonałości, unikać najmniejszej niedoskonałości.
- 66 Pokorą za Komunię trzeba zapłacić, miłość chce tego.
- 67 Mało na tym zależy, co człowiek czuje, ale na tym, jaki kto jest.
- 68 Tylko przez miłość można coś od Boga uzyskać.
- 69 Szukać Boga w Wierze i Miłości, nie chcąc znajdować ani zadowolenia, ani używania żadnej rzeczy stworzonej i nie chcąc rozumieć więcej, jak z tego, co powinienem wiedzieć.
- 70 Ubóstwo – perłą ewangeliczną.
- 71 Takich myśli, które się nie wiadomo jak głupio zakradną, nie trzeba za swoje uważać, choć się myśli.
- 72 Jedna dobrowolna niedoskonałość przeszkadza do transformacji duszy w Boga.

- 73 Nie my rządymy Zgromadzeniem, tylko Pan Bóg i dobrze jest jak Pan Bóg daje.
- 74 Pozbawić się wszystkiego, czego się pożąda.
- 75 Ojcowska Opatrzność Boża bezpośrednio rządzi naszym życiem w zdrowiu i w chorobie, i w najdrobniejszych szczegółach.
- 76 Nie dlatego pragnę zbawienia, żeby być zbawionym, ale żeby się wykonał plan Boski.
- 77 Zjednoczenie z Bogiem jest ważniejsze od wszelkich innych obowiązków, w nim jest najpewniejszy środek doprowadzenia wszystkiego ku dobremu.
- 78 Istotą sztuki jest dusza wyrażająca się w stylu.
- 79 Styl jest to szczerłość, przyrodzony głos duszy, jej kształt, jej język.
- 80 Czy sztuce służąc, Bogu też służyć można?
- 81 Boję się, że brat się stara więcej o porządek w domu i w kasie, jak o miłosierdzie.
- 82 Kto w zakonie nie słucha, taki służy diabłu, nie zakonowi i Panu Bogu.
- 83 Każdego biedaka, co pode drzwi przyjdzie, trzeba przyjąć na dłużej czy na krócej i dać, co można, choćby przez to trochę biedować albo reszcie obroku ująć.
- 84 Nie postępować przez ciągle zwycięstwa nad sobą, znaczy cofać się.
- 85 Każdy człowiek upada własnym ciężarem, jeśli nic go nie podtrzymuje i do Boga nie zdąża.
- 86 Kupił nas sobie Pan nasz, wydał wszystko, co miał na zapłatę.
- 87 Tyle męki i najlepszej krwi kosztuje artystę malowanie.
- 88 Gustowny klomb w ogrodzie więcej wart często, niż duże gmachy z kamienia.
- 89 Tutaj panuje taka atmosfera, że nic łatwiejszego, jak w takich warunkach fabrykować teologię, szczególnie pod adresem swoich bliźnich.
- 90 Kościół to jest sukcesja nieprzerwana świętych: ludzi, czynów i zasad.
- 91 Kto wie, czy nie jest lepiej, że mamy mniej, niż gdybyśmy mieli więcej i z większą łatwością.
- 92 Ten jest dobry, kto chce być dobry.
- 93 Piękna w naturze we właściwym znaczeniu nie ma, ono tylko w nas samych – my je odnajdujemy i nie tylko artyści z fachu.
- 94 Pragnąłbym jesienne włókna „babiego lata”, które nas wiążą, zmienić na łańcuch nie do rozerwania przyjaźni duchowej.
- 95 Dla troszkę kąkolu nie wolno wyrzucać pszenicy.
- 96 Sztuka to tylko wyraz i nic innego, dzieła tej tak zwanej sztuki są to zupełnie przyrodzone objawy naszej duszy, są to nasze własne dzieła i mówiąc po prostu, dobra jest rzecz, że je robimy, bo to naturalny sposób komunikacji i porozumienia się między nami.
- 97 Kogo Pan Jezus sobie wybrał, temu i sto piekieł nie zaszkodzi.
- 98 Posłuszeństwo – najpewniejsza obrona od szatana i miłości własnej. Przez posłuszeństwo oddajemy prawdziwie swoją duszę Panu Bogu, który nami rządzi jako swoją własnością we wszystkich rzeczach największych i najmniejszych.
- 99 Zachować serce tylko dla Boga albo pożegnać nadzieję przybycia do celu i kresu.
- 100 Jeżeli Pan Jezus mówi A, to chce żeby powiedział B, C i do samego końca całej alfabety.
- 101 Chciałbym takie rzeczy robić, których jeszcze nie potrafię; trzeba poprzestać na mniejszym na ten raz.
- 102 Obraz i ten, co go robi, to jedno – o tym jestem do wódnie przekonany.
- 103 Prostota przez nieumiejętność – nieciekawka.
- 104 Czemu państw z Ewangelii nie budują, kiedy chcą postępu?
- 105 Małżeństwo to też zakon bardzo święty i ma cały szereg świętych obowiązków; wystarcza, żeby człowieka dobrej woli do nieba zaprowadzić.
- 106 Dobrze nie mieć darów szczególnych, bo się jest chronionym od pychy.
- 107 Każde zgromadzenie zakonne polega na ścisłym zachowaniu rad ewangelicznych ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Kto więc tego zachować nie chce, to trzeba go natychmiast wydaląc, jako zarazę i niszczyciela.
- 108 W trudnych razach uciekamy się do św. Józefa z prośbą o nasze potrzeby i zawsze jesteśmy poratowani.
- 109 Wizje, objawienia i wszystko, co w tym rodzaju można pomyśleć, nie są warte jednego aktu pokory.
- 110 Cztery noce: zmysłów, umysłu, pamięci, woli.
- 111 Kościół Katolicki: święte ciało, choć w nim dużo członków chorych albo umarłych.
- 112 Jaka modlitwa, taka doskonałość; jaka modlitwa, taki dzień cały.
- 113 Uczyć się umierać, umierać codziennie.
- 114 Bez skupienia nikt do doskonałości przyjść nie może.
- 115 Panie Jezu, dla Twojej miłości gotów jestem na krzyż i na śmierć. W Tobie położyłem ufność moją, nie daj mnie na wieczne pohańbienie.
- 116 Nie ma nic trzeciego ani tu, ani tam – jest tylko Bóg albo diabeł.
- 117 Tak mi Panie Jezu dopomóż. Pomnóż siłę kochania tylko Ciebie i wszystkich ludzi dla Ciebie. Daj, żebym był do Ciebie podobny.
- 118 Życie byłoby zbyt nędzne, gdyby nie nadzieja prawdziwego nareszcie życia na tamtym świecie.
- 119 Powinno się być dobrym jak chleb. Powinno się być jak chleb, który dla wszystkich leży na stole, z którego każdy może kęs dla siebie ukroić i nakarmić się, jeśli jest głodny.
- 120 Koniec – to jest święta miłość i święte zjednoczenie, w którym Pan Bóg oddaje wszystko swoje i Siebie, a dusza tak samo.



Mądrość ubóstwa – myśli, Brat Albert, wybrał i wstępem opatrzył K. Wójtowicz, Wrocław 1991

Święty Brat Albert

Przypuszczam, że większość Polaków kojarzy nazwisko Adama Chmielowskiego z jego przybranym imieniem zakonnym Brat Albert. Imię to przypominało w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat kilkakrotnie: 23 grudnia 1946 roku przez fakt przyznania przez ks. kard. Adama Sapiechę Bratu Albertowi tytułu Sługi Bożego, 22 czerwca 1983 r. – jego beatyfikację na krakowskich Błoniach przez Jana Pawła II oraz 12 listopada 1989 r. – kanonizację w Rzymie, także przez papieża z Polski.

Adam Chmielowski urodził się 20 sierpnia 1845 roku w Igołomii k. Miechowa. Zdarzenia z miesięcy sierpniowych jeszcze kilkakrotnie odegrały w jego życiu szczególną rolę. Po ośmiu latach – 25 sierpnia 1853 roku zmarł jego ojciec, a sześć lat później – 28 sierpnia 1859 r. pożegnał z wielkim bólem matkę. Po okrutnych doświadczeniach fizycznych (amputacja nogi w warunkach polowych w czasie Powstania Styczniowego), prześladowaniach, przeżyciach artystycznych w kręgu ówczesnej bohemy krakowskiej w roli cenionego i wziętego malarza ale i krytyka, a także głębokiej depresji związanej z poszukiwaniem „czegoś doskonalszego” – przywdział habit tercjański 25 sierpnia 1887 roku, aby 25 sierpnia 1888 utworzyć Zgromadzenie Albertynów oraz złożyć śluby zakonne na ręce ks. bp. Albina Dunajewskiego w Krakowie.

Pomimo tego, że w wieku lat osiemnastu został kaleką, pozostał czynnym do końca swojego życia. W okresie studiów w Monachium zachwycał wszystkich jazdą na łyżwach oraz tańcem na swojej zagranicznej protezie. Później, kiedy przyszło mu zmagać się z ludzką nędzą w miejskich ogrzewalniach przekształconych przez niego w przytuliska, stukot jego protezy i ciągnionego po krakowskim bruku wózka otwierał serca i drzwi darczyńców, dzięki którym mógł nieść pomoc i ulgę tym, którzy zeszli na samo dno ludzkiej egzystencji.

Z domu rodzinnego wyniósł głęboką religijność. Zarówno trwałe kontakty z ludźmi wielkiej wiary, jak i oddziaływanie lektur, do których zaliczał przede wszystkim „Przewodnik do Reguły Trzeciego Zakonu św. Franciszka Serafickiego”, a nade wszystko własne doświadczenia i przemyślenia, doprowadziły Chmielowskiego do poświęcenia się całkowicie służbie Bogu. Już w 1873 roku pisał do Lucjana Siemieńskiego, krytyka sztuki i przyjaciela; *Sztukę i talent i myśli Bogu ku chwale poświęcić, święte rzeczy malować, siebie oczyścić i uświęcić*. Siedem lat później znalazł się w nowicjacie u oo. Jezuitów w Starej Wsi. Rozterki i napięcia wewnętrzne, które wiązały się zapewne z poszukiwaniem życiowego „universum”, spowodowały kilkumiesięczną depresję nerwową, którą musiał leczyć w zakładzie psychiatrycznym we Lwowie. Przyczyny depresji i apatii, a także siły sprawcze uwolnienia się od nich pozostaną tajemnicą. Niewątpliwie współdziałały w tym przypadku rozmowy prowadzone z życzliwymi ludźmi, także dobra atmosfera wypoczynku, stworzona mu w Kudryńcu – majątku jego brata Stanisława oraz podjęcie działalności zarówno malarskiej, jak i „wędrownego

go apostoła”, szerzącego tercjarstwo wśród wiejskiego ludu na Podolu.

Wydalony z granic zaboru rosyjskiego i już ukształtowany duchowo w 1884 roku przyjechał do Krakowa, gdzie utworzył pracownię malarską przy ulicy Basztowej. Swoją filozofię artystyczną zawarł w krótkim zdaniu – *Istotą sztuki jest dusza wyrażająca się w stylu*. Jest autorem wielu obrazów, głównie o treści religijnej, z najbardziej znanym, a zarazem przejmującym w swojej wymowie pt. „Ecce Homo” (Oto Człowiek). Malował także krajobrazy, sceny wieczorne, wizje pejzażu o zmierzchu i nokturny, ponadto akwarele oraz wiele rysunków. Jego dzieła świadczą o poszukiwaniu własnego miejsca w rzeczywistości współczesnej mu sztuki, a zarazem stawiają dzisiaj Adama Chmielowskiego w rzędzie najznakomitszych polskich malarzy, uznawanego za jednego z prekursorów polskiego impresjonizmu.

W jego pracowni coraz częściej zaczęli się pojawiać bezdomni i różnego autoramentu nędzarze. Bezpośredni kontakt z tymi ludźmi, a nade wszystko odwiedziny w tzw. miejskiej ogrzewalni, czyli przytulku dla ubogich prowadzonym przez miasto, stały się momentem przełomowym w życiu Adama Chmielowskiego. Powie później, już jako Brat Albert – *Żeby podeprzeć kulawy stół, nie można go z góry obciążać, ale pochylić się trzeba i z dołu podeprzeć. To samo z nędzą ludzką. Trzeba się stać nędźniejszym od najnędźniejszych, aby ich dźwignąć*.

Od momentu, w którym *umarł Adam Chmielowski, a narodził się Brat Albert*, życie jego stało się pasmem umartwień, wyniszczającej pracy zarówno fizycznej, jak i psychicznej oraz nadludzkich wysiłków przekuwanych na wielki społeczny manifest. W krótkim czasie powstały: Zgromadzenia Albertynów (1888), następnie Albertynek (1891), które realizowały idee głoszone przez Brata Alberta. Na terenach polskich powstało 20 placówek zwanych przytuliskami do walki z nędzą oraz szereg domów dla bezdomnych dzieci i młodzieży, zakłady dla kalek, starców i nieuleczalnie chorych. Powstały także, do dzisiaj promieniujące ideą albertyńską – zakopiańska pustelnia dla albertynów na Kalatówkach (zbudowana w 1898 r.), a przekazana w 1902 roku albertynkom, od czasu zbudowania nowej siedziby dla braci.

Brat Albert zmarł w opinii świętości 25 grudnia 1916 roku, w krakowskim przytulisku dla nędzarzy pośród tych, którym służył przez połowę swojego życia. W 1938 roku prezydent Ignacy Mościcki nadał pośmiertnie Bratu Albertowi najwyższe odznaczenie państwowe – Wielką Wstęgę Orderu Polonia Restituta *za wybitne zasługi w działalności niepodległościowej i na polu pracy społecznej*.

Brat Albert zarówno za życia, jak i po śmierci, nie przestawał fascynować ludzi różnych orientacji światopoglądowych. Adolf Nowaczyński nazwał Brata Alberta *najpiękniejszym człowiekiem mego pokolenia* poświęcając mu książkę pod tym właśnie tytułem. W rekolekcjach na Kalatówkach brali udział m.in. Jan Kasprowicz, wspomniany Adolf

Nowaczyński, a nawet Stanisław Przybyszewski, którym raczej daleko było do Kościoła. Karol Wojtyła nazwał Brata Alberta *Bratem naszego Boga* w dramacie napisanym w 1949 roku w Niegowici, którego światowa prapremiera odbyła się w Krakowie 13 grudnia 1980 roku na deskach Teatru im. Juliusza Słowackiego.

* * *

Fascynacja osobą Brata Alberta, jak sądzę, stała się bezpośrednią przyczyną wykorzystania jego podobizny na znaczkach pocztowych wydanych przez Poczta Polską w 1947 roku: obu wydań z serii „Kultura Polska” (Fi. nr 421 A,B i 430 A,B), na znaczku dobroczynnym na Pomoc Zimową (Fi. 443) oraz w bloku nr 10, wydanym 10 czerwca 1947 r. z nadpłatą na cele społeczne.

Autorem projektu znaczka był Stefan Żechowski, który wykorzystał w tym celu obraz Leona Wyczółkowskiego – mistrza i przyjaciela Chmielowskiego, pt. „Brat Albert jako opiekun dzieci” (Miłosierdzie) malowany, w latach 1933-1934, ale niedokończony (płótno o wym. 104 x 70 cm, muzeum Braci Albertynów w Krakowie). Obraz powstał z pamięci wspomaganej fotografiami Adama wykonanymi po 1900 roku.

Znaczki z podobizną Brata Alberta z I wydania „Kultura Polska” mają barwę żółtobrunatną, a z II wydania pomarańczową. *Przyczyną zmiany barw w 2 wydaniu było uzyskanie przez Drukarnię Narodową nowego asortymentu farb z fabryki „Atra” w Toruniu, zamiast dotychczasowych pochodzących z fabryki „Linxyen” w Krakowie* – jak podano w „Polskich Znakach Poczтовых” (t. II, Warszawa 1960). Znaczki drukowano techniką rotograviury w Drukarni Narodowej w Krakowie, papier drzewny szarawy cienki w I i II wydaniu oraz dodatkowo w II wydaniu – bezdrzewny biały. W przypadku znaczków ząbkowanych, była to perforacja liniowa 10: lub 11.

Również znaczek dobroczynny był drukowany techniką rotograviury w Drukarni Narodowej w Krakowie. Motyw, podobny do znaczka nr 421 wg projektu St. Żechowskiego został przerobiony przez J. Wilczyka, który zmniejszył jego wielkość (rys. 20,5 x 31,3 mm), dodał napisy oraz zmienił wartość nominalną. Nadpłata 18 zł przeznaczona była na rzecz Centralnego Komitetu Pomocy Zimowej w Warszawie. Numerowany blok nr 10 drukowany był w Szwajcarii, również techniką rotograviury.

Nakład znaczka nr 421, drukowanego od 6-13 lutego 1947 r. z walca oznaczonego symbolem N.I.W.I. wynosił 4 191 000 szt., znaczka nr 430 drukowanego walcami N.2.W.I.; N.2.W.II.; N.2.W.III.; N.2.W.IV. i N.2.W.V w czasie od 7 maja do 9 czerwca 1947 r. – 12 717 300 szt., a na papierze białym bezdrzewnym (walec N.3.W.I.) – 4 379 500 szt. Liczby dotyczą łącznie znaczków ciętych i ząbkowanych. Nakład znaczka nr 443 wyniósł 4521 arkuszy czyli 226 050 szt. Nakład bloku nr 10 wynosił 50 000 szt. (znane są nieliczne bloki z numerami powyżej 50 000).



Znaczki z Bratem Albertem zostały wycofane z obiegu już 15 stycznia 1949 r., a zatem w obiegu były: nr 421 – 22 miesiące; nr 430 – niecałe 20 miesięcy, a znaczek nr 443 – mniej niż 13 miesięcy. Tylko blok nr 10, zawierający m.in. znaczek z podobizną Brata Alberta, zachował ważność po tym terminie, a po zmianie waluty i ostemplowaniu go nadrukiem „groszy” został wycofany 30 kwietnia 1952 r., podobnie jak wszystkie pozostałe znaczki z wydań „Kultura Polska”.

Sądzę, że wcześniejsze wycofanie znaczków o nominale 2 zł z Bratem Albertem było związane z wprowadzeniem nowej taryfy pocztowej 1 stycznia 1948 roku, chociaż nie wykluczam, że mogło być tych powodów więcej – tym bardziej, że 23 grudnia 1946 r. ks. kardynał

Adam Sapieha wznowił proces diecezjalny, przyznając Bratu Albertowi tytuł Sługi Bożego. Proces informacyjny trwał do 8 lutego 1950, to znaczy, że w okresie od 1946 roku do 1950 gromadzono materiały do beatyfikacji Brata Alberta.

Po kanonizacji, kolejny znaczek z podobizną św. Brata Alberta ukazał się 29 marca 1991 roku. Autor projektu znaczka wykorzystał tu studium głowy wykonane przez Leona Wyczółkowskiego w 1934 roku pastelem, kredką czarną i białą na papierze o wymiarach 35,5 x 22,5 cm. Również i ten portret znajduje się w muzeum Albertynów w Krakowie.

Znaczki z Bratem Albertem mają błąd rzeczowy i drobne usterki. Do najistotniejszych należy błędnie podany rok urodzenia Adama Chmielowskiego. Zamiast 1846 powinno być 1845. Błąd ten pojawił się również w stemplu pierwszego dnia z 1991 roku, a co gorsze – podana jest w nim błędna data śmierci 1919 zamiast 1916 r. W 1990 roku skatalogowano w znaczku nr 421 jedynie błąd ząbkowania pionowego, a w znaczku 443 jasną plamkę po liczbie 1947. Później liczba skatalogowanych usterek znacznie się powiększyła.

Ten jeden znaczek pocztowy, na którym przedstawiono podobiznę Adama Chmielowskiego, wydany w jednym roku jako ząbkowany i cięty, w trzech kolorach i dwóch różnych formatach stał się dla mnie fascynującym motywem kolekcji. W skład kolekcji weszły znaczki pocztowe, także z marginesami i oznaczeniami walców, znaczki z usterkami i to zarówno katalogowanymi, jak i niekatalogowanymi, ale głównie korespondencja – listy i kartki pocztowe – ofrankowane chociażby jednym „Bratem Albertem” pośród użytych znaczków. Ciekawostek z tym związanych jest już co niemiara, chociaż jestem dopiero na początku tworzenia kolekcji. Niech dołączone ilustracje mówią za siebie.

JERZY DUDA

Trzeba duszę dać

Mrok powoli wkrada się do małego kościółka, w którym migoczące wieczne lampki przypominają wyraźnie, że Bóg jest TU i TERAZ. Nie sposób nie odnieść wrażenia, że ta Obecność jest faktem, kiedy patrzy się w płonące serce tabernakulum i wiszący nad nim obraz *Ecce Homo*. To szczególne płótno jest niemyim świadkiem tajemnicy powołania św. Brata Alberta. Kościółek dziś urósł do rangi sanktuarium, a Twórca obrazu stał się patronem ludzi przeżywających rozmaite chwile w swoim życiu.

Dwadzieścia lat temu, 12 listopada 1989 roku Ojciec Święty Jan Paweł II kanonizował Szarego Brata, zwanego również Biedaczyną z Krakowa, by wskazać światu, że warto podjąć trud zmagania się o dobro tłące się w każdym człowieku, zwłaszcza w tym, który sam sobie pomóc nie może, który został skazany na odepchnięcie i odrzucenie przez społeczeństwo.

Jakie były początki tego dzieła? Oto staję przed nami człowiek w sile wieku, który ma już za sobą różne życiowe perypetie: stratę rodziców w dzieciństwie, udział w powstaniu styczniowym, ukrywanie się przed prześladowaniami, studia malarskie poza granicami Polski i świetnie zapowiadającą się karierę. Przemierza uliczki Krakowa miarowo wystukując rytm protezą będącą pamiątką po walce o wolność Ojczyzny. To wędrowanie ma swój cel: wyszukuje bezdomnych, zwłaszcza dzieci i młodzież, by udostępnić im swoje małe mieszkanie ocalając ich przed zamarnięciem na ulicy. Z biegiem czasu trafia w miejsce w niczym nieprzypominające domu, będące schronieniem dla wielu ludzi borykających się z problemem bezdomności, alkoholizmu, odrzucenia czy zapomnienia. W jednym pomieszczeniu stłoczeni byli starcy i dzieci, ludzie chorzy i zdrowi; ci, którym w życiu się nie powiodło, jak również zwykli przestępcy.

Ja ich tak nie zostawię – ta jedna myśl kołatała w sercu i duszy Adama Chmielowskiego. Przyjął prosty habit i nowe imię – Brat Albert. Zamieszkał wśród ubogich stając się ich ojcem, opiekunem i bratem, pomagając im odzyskać wiarę w Boga i człowieka.

Miłość bliźnich czerpał od Chrystusa w Eucharystii. Przypisujemy dziś Bratu Albertowi piękne słowa: *Powinno się być dobrym jak chleb; powinno się być jak chleb, który dla wszystkich leży na stole, z którego każdy może kęs dla siebie ukroić i nakarmić się, jeśli jest głodny.*

Pierwsi pomocnicy Brata Alberta wyrosli spośród samych podopiecznych ogrzewalni, która w szybkim tempie przyjęła nazwę „przytuliska”. Tak oto pierwsi bracia – od imienia Brata Alberta nazwani albertynami – wpisali się w krajobraz Krakowa.

Kiedy malarz Skotnicki, przyjaciel Brata Alberta, zapytał: *Wiem, że Brat Albert szukał szczęścia w wojaczce, w walce*

o Polskę. Wiem, że Brat Albert szukał ukojenia w nauce, sztuce. Czy nareszcie dzisiaj w tym habitcie Brat odnalazł to, czego pragnął?. Za całą odpowiedź otrzymał serdeczny uśmiech i usłyszał: Mam schroniska i stowarzyszenia mych braci w Krakowie, Tarnowie, we Lwowie, w Zakopanem. Rozdałem w tym roku 20 tysięcy bochenków chleba, 12 tysięcy porcji kaszy, daję nocami dach nad głową setkom tych, którzy go nie mają. Niech ci, bracie, to służy za odpowiedź.

W 1891 roku, 15 stycznia otrzymały habity pierwsze albertynki. Nie miały łatwego zadania, bowiem środowisko ich życia i pracy dalekie było od ogólnie przyjętych norm życia zakonnego. Pan Bóg jednak błogosławił i w krótkim czasie powstały nowe miejsca posługi ludziom najbardziej potrzebującym.

Brat Albert zalecał swym braciom i siostrą zachować Ewangelię i *Przestrogi duchowe* św. Jana od Krzyża. Jako naczelną zasadę swych Zgromadzeń postawił radykalne ubóstwo, by bracia i siostry sercem wolnym od posiadania i przywiązania do czegokolwiek, mogli naśladować Chrystusa, a przez prosty styl życia i ciężką pracę bardziej zbliżyć się i upodobnić do swych biedaków. W ubóstwie stał się Brat Albert najwierniejszym naśladowcą św. Franciszka.

Druga cecha albertyńskich zgromadzeń to pełna miłości, bezinteresowna służba ubogim. Założyciel wpajał braciom i siostrą przekonanie, że służąc ubogim – służą samemu Panu Jezusowi.

Najwierniejszą uczennicą Ojca Ubogich stała się bł. s. Bernardyna – Maria Jabłońska, która modliła się o jak najwierniejsze oddanie na służbę potrzebującym: *Jezu, niech nie żyję dla siebie – rozlej mą duszę na wszystkie doliny nędzy ludzkiej. Napelnij ją swoją dobrocią i miłosierdziem, i daj mi łaskę, abym Twą dobrocią i miłosierdziem zastąpiła Cię tu, na tej leż dolinie, czyniąc wszystkim dobrze.* Te ostatnie słowa stały się duchowym testamentem dla sióstr, które w odpowiedzi na powołanie niejednokrotnie nie zawahały się oddać własnego życia w posłudze miłości miłosiernej.

Albertynki dziś

Przesłanie, któremu św. Brat Albert był wierny przez całe swoje życie, siostry albertynki starają się realizować w Polsce na terenie trzech prowincji: krakowskiej, warszawskiej i poznańskiej, a także poza granicami kraju: w USA, Włoszech, Watykanie, Anglii, na Ukrainie i Słowacji, w Rosji (Syberia) oraz w Argentynie i Boliwii, gdzie podejmują pracę misyjną.

Siostry posługują w domach opieki dla osób starszych i samotnych, domach pomocy społecznej dla dorosłych i dzieci, przytuliskach otwartych dla ludzi bezdomnych, świe-

tlicach i ochronkach dla dzieci z rodzin wielodzietnych i dysfunkcyjnych, hospicjach dla terminalnie chorych, domach księży emerytów, kuchniach dla ubogich, ośrodkach interwencji kryzysowej, domach samotnej matki oraz placówkach parafialnych, gdzie siostry obejmują swą troską chorych, ubogich i samotnych, katechizują, są zakrystiankami i organistkami.

Formacja

Do podjęcia posługi siostry przygotowują się w czasie formacji podstawowej trwającej dziewięć lat. Zanim to jednak nastąpi, zgłaszające się kandydatki odbywają tzw. rozeznanie powołania. Polega ono na pobycie we wspólnocie sióstr, uczestnictwie w ich modlitwie i pracy oraz podjęciu refleksji nad sensem życia i własnym powołaniem. Od chwili wstąpienia do Zgromadzenia kandydatki rozpoczynają aspirat, następnie ma miejsce postulat i nowicjat zakończony złożeniem pierwszych ślubów zakonnych na rok. Nowicjat to czas wzrastania w miłości do Chrystusa poprzez modlitwę i codzienną pracę.

Śluby złożone po nowicjacie ponawiane są przez kolejnych pięć lat, podczas trwania tzw. junioratu. Ma on pomóc w pogłębieniu świadomości własnej tożsamości jako osoby konsekrowanej Bogu przez profesję rad ewangelicznych: czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. Ma również przygotować do złożenia ślubów wieczystych i pełnego włączenia się w życie i posłannictwo Zgromadzenia. W tym czasie siostry zdobywają odpowiednie kwalifikacje zawodowe i podejmują studia ukierunkowujące do konkretnej posługi.

Sześcioletni juniorat uwieńczony jest złożeniem wieczystej profesji, po której siostra staje się pełnoprawnym członkiem Zgromadzenia.

Pustelnie

Szczególne miejsce w życiu duchowym albertyńskiej rodziny zakonnej zajmują pustelnie wybudowane przez Braci Albertynów pod kierownictwem Założyciela – w Zakopanem na Kalatówkach, na szlaku górskim prowadzącym na Giewont oraz dom modlitwy w Pizunach k. Narola – miejscu urodzenia bł. s. Bernardyny.

Święty Brat Albert podkreślał: *Jeżeli domów pustelniczych zabraknie, to nie można będzie nawet przytułisk dla ubogich urządzać, bo zabraknie wytrwałości, poświęcenia i sił do ich obsługi.*

Cudowny święty

Kanonizacja Brata Alberta nastąpiła po cudownym uzdrowieniu w jednym z warszawskich szpitali dwumiesięcznego dziecka. Cały zespół chorób jednocześnie atakujących jego organizm doprowadził do wyłączenia z funkcjonowania wszystkich narządów wewnętrznych. Lekarze odpowiedzialni i cały personel szpitalny stracili wszelką nadzieję na

Nikt nie idzie sam do nieba. Rozbić naczynie, zapach się rozjeździe. Nie tylko będziemy Boga kochać, ale inni Go przez nas pokochają. A to jest coś.

św. Brat Albert

wyleczenie dziecka. Rodzice, siostry wizytyki oraz siostry albertynki zwrócili się z pełną ufnością do Niebieskiego Lekarza przez wstawiennictwo błogosławionego Brata Alberta. Dnia 3 maja 1986 r., gdy w Domu Generalnym w Krakowie siostry albertynki odmawiały nowennę, nastąpiło uzdrowienie dziecka, które przez lekarzy wchodzących w skład Komisji przy Kongregacji do Spraw Świętych, zostało określone jako

nagle, całkowite i trwałe. Orzeczenie to potwierdziła komisja teologów oraz członkowie watykańskiej Kongregacji ds. Świętych. Papież zatwierdził wyrażone opinie zezwalając na kanonizację błogosławionego Brata Alberta.

Brat Albert jest przemożnym Orędownikiem u Boga, wyrazem czego są liczne łaski otrzymywane za Jego pośrednictwem. Do relikwii Świętego Brata Alberta przybywają pielgrzymki z różnych stron Polski i świata. Powstają nowe kościoły i kaplice pod Jego wezwaniem. Stale wzrasta i rozwija się działalność charytatywna organizowana wśród świeckich członków Kościoła, którzy podejmują dzieła miłosierdzia pod patronatem Świętego.

Recepta na świętość

Życie Brata Alberta, jego dzieło miłości miłosiernej, nie rozgrywało się na poboczu życia ówczesnego świata i ówczesnej Polski. Brat Albert odszedł od swojego autentycznego powołania artysty malarza do jeszcze innego dzieła. Odszedł nie uciekając od rzeczywistości, wprost przeciwnie – gdy dawniej zbliżał się do niej przez kategorię piękna, tak teraz czynił to przez kategorię dobra (ks. kard F. Macharski).

Integralną część posługi sióstr albertynek stanowi pomoc młodzieży w doświadczeniu Bożego działania w życiu, dlatego też już od wielu lat siostry organizują rekolekcje ewangelizacyjne, dni skupienia oraz różnego rodzaju spotkania mające na celu przybliżenie prawd Ewangelii i odniesienia ich do własnego życia.



Terminy najbliższych spotkań organizowanych przez siostry albertynki można znaleźć na stronie internetowej www.albertynki.pl lub pisząc na adres: albertynki.powolania@list.pl

św. Brat Albert – Adam Chmielowski

Był Dobry jak Chleb

Tylko w promieniach miłości cierpienie człowieka ma sens, a nawet najbardziej dotkliwy ból w zetknięciu z dobrocią drugiego człowieka nabiera nowego wymiaru, uśmiech gości na twarzy. Wiedział o tym św. Brat Albert Chmielowski, gdy mówił: „bez miłości grosz jest szorstki, strawa podana niesmaczna, opieka najlepsza niemiła”. On sam dawał siebie tym, którzy najbardziej potrzebują miłości w czynie i słowie.

Jego postać jest niezwykle barwna, bo jest przykładem człowieka obdarzonego mężnym sercem, podejmującego życiowe, pełne radykalizmu decyzje.

Adam Chmielowski żył na przełomie XIX/XX w czasach walk narodowo-wyzwoleńczych. Jego młodzieńcze serce gorzało miłością Ojczyzny, czemu dał wyraz walcząc mężnie w Powstaniu Styczniowym. Został tam ranny w nogę, która musiała zostać amputowana. Zastąpiła mu ją do końca życia drewniana proteza. Adam był niezwykle utalentowanym artystą malarzem, prekursorem polskiego impresjonizmu. Jednak jego życiowa droga wcale nie była prosta. Wiele malował, studiując w Paryżu, Monachium, ale charakterystyczną cechą jego twórczości było to, że nie kończył swoich obrazów. Dla kolegów: M. i A. Gierymskich, L. Wyczółkowskiego był autorytetem i najpierw jego ocenie dawali swoje obrazy. Jednak obrazy Adama były w większości tylko rozpoczęte, a jeśli je kończył to wyłącznie w celach zarobkowych.

Jednym z takich obrazów był „Ecce Homo”, tzn. „Oto Człowiek”, obraz przedstawiający Cierpiącego Chrystusa stojącego przed tłumem po biczowaniu u ukoronowaniu cierpieniem. Adam malował ten obraz wiele lat i jak sam powiedział: „obszedłem się z tym obrazem jak partacz ostatni”. Jego serce pełne niepokoju, poszukujące sensu życia, tego najważniejszego celu, dla którego można wszystko poświęcić, nie dawało mu spokoju. Spotykał nędzarzy na krakowskich ulicach, zetknął się z ich niedolą w ogrzewalni, do której wszedł pewnej nocy i powiedział: „ja ich tak nie zostawię!”

Gdyby miał dwie dusze to by jedną z nich malował, a skoro miał tylko jedną musiał wybrać to, co najważniejsze. W ludziach najbiedniejszych dostrzegł Znieważone Oblicze Chrystusa i w ten sposób swoim życiem kończył rozpoczęte na płótnie malarskie dzieło. Jako Brat Albert przywracał ludzką godność najbiedniejszym, pokrzywdzonym, wynędzniałym, tym od których przechodnie na ulicy odwracali się ze wstrętem. On, kaleka postukujący po krakowskim bruku drewnianą protezą, kwestował prosząc o żywność dla swoich biedaków. Nie cofał się przed niczym, bo pragnął ratować dla Chrystusa tych biednych ludzi, najnędzniejszą część społeczeństwa, zapewniając im poprawę warunków materialnych i dbając o ich dusze. Podstawową jego zasadą przy spotkaniu z ubogim było: „dajcie mu jeść”. Mówił, że: „trze-

ba być dobrym jak chleb, który dla wszystkich leży na stole, z którego każdy może ukroić i nakarmić się, jeśli jest głodny”.

Za przykładem Brata Alberta poszły szeregi mężczyzn i kobiet, którzy jak on pragnęli pomagać bliźnim. Zapragnęli wypełniać powołanie swojego życia dając siebie, schylając się, by podnieść tych, którzy sami nie potrafią już powstać ze swojej nędzy. Dzisiaj zgromadzenia zakonne Sióstr Albertynek i Braci Albertynów prowadzą swoją działalność zarówno w kraju jak i poza jego granicami. Chociaż Brat Albert mówił, że nie miał zamiaru zakładać żadnego zgromadzenia, to jednak plany Boże były inne.

W dzisiejszym zmaterializowanym świecie, gdzie tak rzadko można dostrzec przyjazną dłoń wyciągniętą bezinteresownie ku drugiemu człowiekowi, my, siostry albertynki, pomagamy ludziom najuboższym, strzegąc wiernie charyzmatu naszego Założyciela. Miejscem naszej posługi są przytuliska, domy opieki, domy pomocy społecznej dla kobiet i mężczyzn, zakłady opiekuńczo-lecznicze, kuchnie dla biednych czy domy samotnej matki, miejsca gdzie schronienie i kompetentną pomoc mogą znaleźć kobiety dotknięte przemocą. Jest to więc nie tylko materialna pomoc osobom biednym, samotnym czy wielodzietnym rodzinom. Siostry również jako katechetki i zakrystianki słowem i świadectwem życia obdarzają miłością bliźnich. Nasze placówki znajdują się na Ukrainie, Słowacji, Syberii, w Rzymie, Watykanie, Anglii, Boliwii i Argentynie. Pracujemy wśród dzieci ulicy, dla których obiad u sióstr jest jedynym pełnym posiłkiem w ciągu dnia.

W dzisiejszej Polsce nasza praca jest zinstytucjonalizowana ze względu na wymagania ze strony państwa. Jednak podobnie jak było na początku, gdy siostry mieszały z ubogimi, tak również dzisiaj nasze domy mieszczą się tuż obok domów pomocy społecznej, by być najbliżej tych, którzy w każdej chwili mogą potrzebować pomocy.

Brat Albert odchodząc do Domu Ojca kazał śpiewać z wdzięcznością „Magnificat” i przestrzegał swoje duchowe dzieci: „przede wszystkim ubóstwo zachowajcie”, bo nie można służyć ubogim samemu nie żyjąc w ubóstwie, dlatego jest ono dla nas „perłą ewangeliczną”, której strzeżemy, dostrzegając w niej nadprzyrodzoną wartość.

W każdym spotkanym człowieku staramy się oczyma duszy dostrzegać obraz Boży, Oblicze Chrystusa, który jest obecny wśród nas, chodzi po ulicach, puka do drzwi prosząc o kromkę chleba, patrzy smutnym wzrokiem siedząc skulony z zimna na dworcach czy u drzwi kościołów. Czy możemy minąć Go obojętnie, by kiedyś nie usłyszeć: „Byłem głodny, a nie daliście Mi jeść...”? Czy możemy naszych braci nie obdarzać miłością, którą sami jesteśmy tak obficie obdarowywani każdego dnia?

s. Marzena (albertynka)

Jadłodajnia z rekolekcjami

Od siedmiu laty przy Domu Prowincjalnym Zgromadzenia Sióstr Albertynek w Poznaniu działa Jadłodajnia Caritas im. św. Brata Alberta. Codziennie w godz. 11–13 ludzie najubożsi otrzymują ciepłą, pożywną zupę i chleb. Każdego dnia wydawanych jest około 500 porcji.

Wielu z podopiecznych to osoby bezdomne, emeryci i renciści, mający bardzo niskie świadczenia społeczne, rodziny wielodzietne i niepełne, uzależnieni, młodzież. O godz. 15 dodatkowo mogą otrzymać chleb ci, którzy nie dostali zupy. Dzięki uprzejmości osób prywatnych i instytucji, biednym przekazywane są również inne produkty żywnościowe, jak: smalec, margaryna, dżem, puszki mięsne, mleko, makaron, produkty cukiernicze. W pracach Jadłodajni pomaga kilku świeckich wolontariuszy.

„Nie samym chlebem żyje człowiek...”

Św. Brat Albert często przypominał braciom i siostram, aby troszcząc się o materialne potrzeby najuboższych nie zapominali o ich życiu duchowym.

– Posługa ubogim polega na tym, żeby każdego z nich, który się przedstawi, do domu przyjąć i wedle możliwości w potrzebach doczesnych wspomagać, zajmować też pracą tych, którzy są do pracy zdolni, pouczać prawd wiary, nakłaniać do modlitwy, słuchania mszy św., do spowiedzi. Mają też starać się, żeby, kiedy napływ ubogich jest większy, były w domu wspólne rekolekcje – mówił Brat Albert.

Kierując się słowami swojego patrona siostry Albertynki raz w tygodniu we wtorki o godz. 16.15 organizują odprawianie różańca, w którym uczestniczy zazwyczaj 20-40 podopiecznych.

W tym roku po raz pierwszy siostry zorganizowały rekolekcje dla osób korzystających z Jadłodajni. Wzięło w nich udział 70 osób. Rekolekcje odbyły się w Wielkim Tygodniu i trwały 2 dni. Naukę głosił ks. Franciszek Sikora, kapelan jednego z poznańskich szpitali.

Pierwszego dnia konferencja dotyczyła problemu wiary, a drugiego dnia rekolekcjonista wyjaśnił czym jest Sakrament Pokuty i kolejno omówił 5 warunków dobrej spowiedzi. Nie zabrakło prostych przykładów z życia, które najbardziej przemawiają. Na zakończenie rekolekcji ks. Franciszek, dziękując wszystkim za udział i modlitwę, przyznał, że były to rekolekcje również dla niego.

W Wielką Środę podopieczni Jadłodajni mogli skorzystać z Sakramentu Pojednania, a następnie wziąć udział w Eucharystii, którą celebrował dyrektor Caritas Archidiecezji Poznańskiej ks. Waldemar Hanas.

„Dając dobro otrzymujemy dobro”

– Te słowa najbardziej sprawdzają się w posłudze w naszej Jadłodajni. Nie wiemy, kto korzysta więcej, czy ci, którzy przychodzą po pomoc, czy ci, którzy tej pomocy udzielają – mówią siostry Albertynki.

Co roku w Jadłodajni przygotowuje się wigilię i śniadanie wielkanocne dla ubogich i samotnych. Każdy, kto przyj-

dzie, zostanie przyjęty. Z roku na rok wzrasta liczba potrzebujących. Podczas tegorocznych Świąt Zmartwychwstania Pańskiego z tej pomocy skorzystało około 400 osób, dla których już w Wielki Czwartek przygotowano świąteczne paczki. W czasie wigilii, kiedy przychodzi więcej osób, siostry korzystają z budynków Liceum Ogólnokształcącego nr XI, gdyż Jadłodajnia nie jest w stanie pomieścić wszystkich potrzebujących. W organizacji wieczerzy pomaga młodzież szkolna – w przygotowaniu zeszłorocznej wigilii wzięło udział 300 wolontariuszy.

Uczniowie tego Liceum chętnie włączają się do pracy w Jadłodajni również w ciągu roku. W każdą sobotę dwie osoby pomagają przy wydawaniu zupy. – Jest to pomoc bezinteresowna, która na pewno pozostawia wiele dobra w sercach tych młodych ludzi i wyzwala w nich ducha ofiary i dostrzeżenia drugiego człowieka – mówią Albertynki.

Dobro pomnaża się, gdy jest dzielone. Co roku w Tygodniu Miłosierdzia siostry kwestują przez 7 dni na placach targowych w Poznaniu, zbierając dary w naturze oraz datki pieniężne na potrzeby Jadłodajni. Dzięki temu również inni mieszkańcy Poznania mają okazję włączyć się w pomoc najuboższemu. Pewnego razu do siostry zbierającej dary na jednym z rynków podszedł człowiek i wręczając dosyć dużą kwotę pieniężną powiedział: – Dziękuję, dziękujemy, że siostry w naszym imieniu wspomagają biednych.

– Jezus powiedział: „Ubogich zawsze mieć będziecie...” i „Cokolwiek uczyniliście jednemu z braci moich najmniejszych, Mnie uczyniliście”. Można więc zapytać, czy ich obecność nie jest dla nas i dla wielu innych ludzi okazją do czynnej miłości drugiego człowieka, a w nim do miłości naszego Pana? I jeszcze jedno dobro, które otrzymujemy dając, a które nasuwa się samo, to powiększenie naszej rodziny albertyńskiej. Wielu z tych, którzy przychodzą do Jadłodajni, siostra, zajmująca się bezpośrednio stolówką, zna nie tylko po imieniu, ale pomaga im w rozwiązywaniu niekiedy bardzo zawikłanych problemów życiowych. Często wraz z nimi przeżywa też ich kłopoty, porażki, a cieszy się, gdy ktoś otrzymał pracę, mieszkanie, wrócił do rodziny lub komuś udało się wytrwać bez alkoholu kilka dni. Ubodzy często mówią: „nasza kochana siostra”. I tu słowo „siostra” brzmi dosłownie – dzieli się refleksją siostry prowadzącej Jadłodajnię.

„Powinno się być dobrym jak chleb, który dla wszystkich leży na stole...” – to słowa św. Brata Alberta, tak dziś aktualne dla posługi Caritas, szczególnie wobec osób ubogich i biednych.

**Jadłodajnia Caritas pw. św. Brata Alberta
prowadzona przez Zgromadzenie Sióstr
Albertynek
ul. Ks. Piotra Ściegiennego 133
60-304 Poznań**

Albowiem życie Twoich wiernych o Panie, zmienia się, ale się nie kończy...

„Bo śmierci Bóg nie uczynił i nie cieszy się ze zguby żyjących. Stworzył bowiem wszystko po to, aby było (...) bo dla nieśmiertelności Bóg stworzył człowieka – uczynił go obrazem swej własnej wieczności. A śmierć weszła na świat przez zawiść diabła i doświadczają jej ci, którzy do niego należą”. Ewangelia życia, ogłoszona na początku wraz z aktem stworzenia człowieka na obraz Boży, przeznaczonego do życia pełnego i doskonałego, zostaje podważona przez bolesne doświadczenie śmierci, która wchodzi na świat i rzuca cień absurdu na całą egzystencję człowieka. Śmierć pojawia się na skutek zawiści diabła i grzechu pierwszych rodziców. Życie, którym obdarza nas Jezus, nie pozbawia wartości naszej doczesnej egzystencji, ale ją ogarnia i prowadzi ku jej ostatecznemu przeznaczeniu: „Ja Jestem Zmartwychwstaniem i Życiem. Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki”. Życie człowieka pochodzi od Boga, jest Jego darem, Jego obrazem i odbiciem, udziałem w Jego ożywczym tchnieniu. Życie i śmierć człowieka są zatem w ręku Boga, w Jego mocy: „W Jego ręku – tchnienie życia i dusza każdego człowieka”, woła Hiob. „To Pan daje śmierć i życie, wtrąca do Szeolu i zeń wyprowadza”. Tylko Bóg może powiedzieć: „Ja zabijam i Ja sam ożywiam”. Jak jednak w latach starości stawić czoło nieuchronnemu schyłkowi życia? Jaką postawę przyjąć w obliczu śmierci. Człowiek wierzący wie, że jego życie jest w ręku Boga: „Ty, Panie mój los zabezpieczasz” i godzi się przyjąć od Niego także śmierć: Taki jest wyrok wydany przez Pana na wszelkie ciało: i po co odrzucać to co się podoba Najwyższemu?” Człowiek nie jest panem śmierci, tak jak nie jest panem życia, w życiu i w śmierci musi zawierzyć się całkowicie „woli Najwyższemu”, zamysłowi Jego miłości. Człowiek nie jest absolutnym władcą i samowolnym sędzią rzeczy, a tym bardziej życia, ale jest „sługą planu ustalonego przez Stwórcę” – i na tym polega jego niezrównana wielkość. Życie zostaje powierzone człowiekowi jako skarb, którego nie wolno mu roztrwonić, i jako talent do wykorzystania. Człowiek musi się z niego rozliczyć przed swoim Panem. Jak przypomina nam Sobór Watykański II, „tajemnica losu ludzkiego ujawnia się najbardziej w obliczu śmierci”, jednakże człowiek „instynktem swego serca słusznie osądza sprawę, jeśli wzdyga się przed całkowitą zagładą i ostatecznym końcem swojej osoby, i myśl o tym odrzuca. Zaród wieczności, który nosi w sobie, jako niesprowadzalny do samej tylko materii, buntuje się przeciw śmierci”. Ta naturalna odraza do śmierci i ten załączek nadziei nieśmiertelności znajduje uzasadnienie i spełnienie w wierze chrześcijańskiej, która zapowiada i daje udział w zwycięstwie zmartwychwstałego Chrystusa: jest to zwycięstwo Tego, który przez swą odkupieńczą śmierć uwolnił człowieka od śmierci, która jest „zapłatą za grzech”, i dał mu Ducha jako zadatek zmartwychwstania i życia. Pewność przyszłej nieśmiertelności i nadzieja na obiecanie zmartwychwstanie rzucają

nowe światło na tajemnicę cierpienia i śmierci i napełniają wierzącego niezwykłą mocą która pozwala mu zaufać zamysłowi Bożemu. Nikt z nas nie żyje dla siebie i nikt nie umiera dla siebie: jeżeli bowiem żyjemy, żyjemy dla Pana, jeżeli zaś umieramy, umieramy dla Pana. I w życiu więc i w śmierci należymy do Pana. Umrzeć dla Pana oznacza przeżywać własną śmierć jako najwyższy akt posłuszeństwa Ojcu, godząc się przyjąć ją w „godzinie” określonej i wybranej przez tego, który sam tylko może uznać, kiedy ziemską wędrówka powinna się zakończyć.

Wisława Szymborska w swoim tomiku poetyckim pod tytułem „Ludzie na moście” zamieściła wiersz pt. „O śmierci bez przesady” pisze w nim, że śmierć nie zna się na tym co jest treścią naszego codziennego życia. W nasze rozmowy o planach na jutro wtrąca swoje ostatnie słowo nie na temat. Tak więc śmierć jest czymś nie na temat życia. Nie umie nawet tego co bezpośrednio łączy się z jej fachem: ani grobu wykopać nie potrafi, ani trumny sklecić, ani sprzątać po sobie. To pozostawia nam żywym. Kto jednak twierdzi, że śmierć jest wszechmocna, sam jest żywym dowodem że wszechmocna nie jest. Nie ma bowiem takiego życia, które by choć przez chwilę nie było nieśmiertelne. Śmierć zawsze o tę chwilę przybywa spóźniona. Śmierć na próżno szarpie klamką niewidzialnych drzwi życia. Kto ile zdążył, tego mu cofnąć nie może.

Jakże pouczające są i wzbudzające refleksje nad przemijalnością naszego życia spotykane na cmentarzach napisy nagrobne. Oto niektóre z nich: „zgasłeś nam syneczku, jak gwiazdka na niebie, śpij sobie spokojnie my przyjdziemy do ciebie”, „Za wcześniej odeszłaś od nas z tobą marzenia i sny dla ciebie miłość i kwiaty, dla nas tęsknota i łzy”, „Śpij ukochany syneczku, rodzice sercem przy tobie kochają cię jak przedtem, choć leżysz w tym ciemnym grobie”, „Co mnie spotkało i was nie minie, bom ja już w domu wy jeszcze w gościnie”, „Nasze cierpienie cichą łąką się sący, Pan Bóg nas rozłączył, Pan Bóg nas połączy”, „Tak bardzo chciałeś żyć i cieszyć się razem z nami, Bóg jednak zabrał cię, zostaliśmy sami”, „Wszystko co najdroższe ta mogiła mieści, śmierć wszystko zabrała prócz naszej boleści”, „Żyłem bo chciałeś, umarłem bo kazałeś, zbaw bo możesz” – lub podobnie – „Boże – żyłem bo chciałeś, umarłem bo kazałeś, ale zmartwychwstanę”.

Idziesz dalej cmentarną aleją. Ogarnia cię jesień. Poeta powie: „Wicher z jesienią rozpaczają nad sensem życia i ludzkim losem. Lecą strącone liście, wirują myśli jesiennie”. Poeta doda: „Bólem targane drzewa krwawymi płaczą wciąż łzami”. Gdzie indziej, ale wciąż w nastroju jesiennym: „Cóż ja jestem? Liść tylko, liść co z drzewa leci” – to Lechoń. Jastrun doda: „Poprzez czas słyszę dzwony pożegnania”. Jeszcze wierniej odda tę myśl Faleński: „Ściela się pożółkłe liście z posępnym szelestem, wiatr je porywa szydery pod-

rzuca i targa. Jesień okolo mnie w piersi mej zal zapozniony smutek i skarga". „Liście – gałęzie drzew liśćmi żalobny rap-sod gwarzą” – to Zagórski. „O liście leżycie wzorem rozle-głym, szeroko, kolicie i zasypują mnie i moje noce i dnie” – napisze Hłakowiczówna.

Krzysztof Kamil Baczyński powie: „Ludzie idą... pod zamysłonym grobem obłoków. Po liściach jak po krwawych łzach. Tam, gdzie odpoczywają w spokoju umarli, znajomi, kochani”. Wierzyński zaś dopełni nastrój sformulowaniem „Smutek jakże ogromy. Coraz bliżej mgła. Serce rozpiera żal niewyśledzony, nagle odczuty, ostry bez dna”. A my zapalając żalobny znicz, odpowiadamy naszą wiarą: „Wieczny od-poczynek racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci”.

Jak więc umierać. Żyjemy w świecie, który obawia się tego pytania i odeń ucieka. Wcześniejsze cywilizacje potrafiły spojrzeć śmierci w twarz. Rysowały drogę tego przejścia dla całej wspólnoty i dla poszczególnej jednostki. Nadawały finałowi ludzkiego przeznaczenia jego bogactwo i sens. Nigdy może stosunek do śmierci nie był tak ubogi, jak w dzisiejszych czasach duchowego uwiądu, w których ludzie, którym spieszno żyć, zdają się wymijać tajemnicę śmierci. Nie wiedzą że zubażają w ten sposób smak życia, odcinając je od życiodajnego źródła. Śmierć przecież sprawić może, że wypełni się powołanie człowieka: Może się ona stać w pełnym sensie tego słowa spełnieniem. Bowiem w chwili, gdy duch drży wobec niezmiernie tajemnicy Bożej, której nawet nazwać nie śmie, oto przed cierpiącymi braćmi ukazuje się postać Chrystusa. Apostoł Tomasz, ten, który wątpił, powiedział do Jezusa: „Panie, nie wiemy nawet dokąd idziesz:

jak możemy znać drogę?” Odpowiedział mu Jezus: „Ja jestem drogą i prawdą i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca, jak tylko przeze mnie”. Tak więc dla czującego człowieka, uwięzionego w zamęcie własnych sprzeczności i wątpliwości otwiera się, w następstwie niezapomnianych słów Chrystusa, droga wyzwolenia, na której tajemnica istnienia i śmierci nie została wyjaśniona, ale jest w pełni przeżywana.

A oto słowa z testamentu Ojca Świętego Jana Pawła II. „W Imię Trójcy Przenajświętszej. Amen.

Czuwajcie, bo nie wiecie, kiedy Pan wasz przybędzie” (por. Mt 24,42) – te słowa przypominają mi ostateczne wezwanie, które nastąpi wówczas, kiedy Pan zechce. Pragnę za nim podążyć i pragnę, aby wszystko, co składa się na moje ziemskie życie, przygotowało mnie do tej chwili. Nie wiem, kiedy ona nastąpi, ale tak jak wszystko, również i tę chwilę oddaję w ręce Matki mojego Mistrza: totus Tuus. W tych samych rękach matczynych zostawiam wszystko i Wszystkich, z którymi związało mnie moje życie i moje powołanie. W tych Rękach zostawiam nade wszystko Kościół, a także mój Naród i całą ludzkość. Wszystkim dziękuję. Wszystkich proszę o przebaczenie. Proszę także o modlitwę, aby Miłosierdzie Boże okazało się większe od mojej słabości i niegodności.

Po śmierci proszę o Msze Święte i modlitwy”.

Dalej Papież doda „(...) z możliwością śmierci każdy zawsze musi się liczyć. I zawsze musi być przygotowany do tego, że stanie przed Panem i Sędzią – a zarazem Odkupicielem i Ojcem. Więc i ja liczę się z tym nieustannie, powierzając ów decydujący moment Matce Chrystusa i Kościoła – Matce mojej nadziei”.

MODLITWA

Wszchemogący i miłosierny Boże, racz obdarzyć chwałą Świętych Twoje Sługi Braci Serafina i Wincentego, którzy poświęcili swoje życie w służbie potrzebującym i opuszczonym w Zgromadzeniu Braci Albertynów Posługujących Ubogim.

Trwając w zjednoczeniu z Tobą stali się heroicznymi świadkami wiary oddając swoje życie w ofierze miłości ku Tobie mężnie znosząc udreki więzienia i obozów koncentracyjnych. Przez ich wstawiennictwo umocnij naszą wiarę, nadzieję i miłość na drodze naszego życiowego powołania i udziel nam łaski, o którą z ufnością prosimy. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

Ojcze nasz, Zdrowaś Maryjo, Chwała Ojcu...

Maryjo Królowo Męczenników, módl się za nami.

Imprimatur:

Kuria Metropolitalna w Krakowie
Nr. 2706 bp Jan Szkołodź – wik. gen.

O łaskach otrzymanych za wstawiennictwem Sług Bożych prosimy powiadomić:

BRACIA ALBERTYNI

ul. Krakowska 43, 31-066 Kraków
e-mail: domgeneralny_alb@zakon.opoka.org.pl



Sługa Boży
brat Wincenty Wolniarski,
albertyn, (1874-1942)



Sługa Boży
brat Serafin Zwoliński
albertyn, (1879-1940)



U grobu sługi Bożego

Rozeszły się tłumy po zakończeniu żałobnych obrzędów, ale grób nie pozostał pusty. Nieznane ręce kładą na nim kwiaty, zapalają świece i lampki, aby w ten sposób podziękować Panu Bogu za łaski otrzymywane za pośrednictwem Brata Alberta. W Dniu Zadusznym przybywają tu bracia albertyni z wychowankami i modlą się, wysłuchawszy refleksji przedstawionych przez uproszonego wcześniej kapłana o cnotach Brata Alberta. Modlą się – nie jak za innych zmarłych o wieczne odpoczywanie, gdyż są pewni, że ich ukochany ojciec króluje w chwale niebieskiej; modlą się nie do niego, bo jeszcze kościół święty nie wypowiedział oficjalnie swego zdania w sprawie świętości Brata Alberta, ale proszą Boga, aby łaskawie przyspieszył tę chwilę, by dał poznać cudownymi znakami, że Sługa Boży Brat Albert zaliczony został w poczet świętych.



Dziwny sen

Kościół katolicki, zanim pozwoli kogoś czcić na ołtarzach, domaga się stwierdzenia jego heroiczych cnót. Oprócz tego żąda, aby przedstawiono przynajmniej dwa cuda, zdziałane za życia lub po śmierci za pośrednictwem Sługi Bożego. O świętości Brata Alberta polska opinia już dawno miała zdanie pewne. Czy Brat Albert działał cuda? Za życia nie można wskazać wyraźnego faktu, jakkolwiek ci, którzy go znali, skłonni byli przypisywać mu moc cudotwórczą. Nie brak w życiu Bożego zakonnika faktów przedziwnego przewidywania przyszłości. Natomiast mnożą się niezwykle łaski, jakich wierni doznają, gdy wzywają w swych kłopotach Boga – za pośrednictwem Brata Alberta. Wśród wielu prawdziwych wydarzeń warto przytoczyć fakt przedziwnego wyleczenia siostry K. – albertynki. Cierpiała ona od wielu lat na gruźlicę kości i kiedy sztuka lekarska wyczerpała wszystkie swe środki i zdawało się, że nie ma już ratunku, wówczas siostra K. rozpoczęła nowennę do św. Teresy od Dzieciątka Jezus. W czasie nowenny miała dziwny sen; ujrzała w nim św. Teresę, która wskazując na Brata Alberta, mówiła: „Czemu nie wzywasz Boga za pośrednictwem swego ojca?” Siostra K. rozpoczęła więc nowennę do Brata Alberta i niebawem powróciła do zdrowia w sposób cudowny, jak stwierdzili pisemnie krakowscy lekarze.